

Dziewczyna spojrzała na niego przerażona, ale nie odpowiedziała.

– No, idź. Ja tam teraz mieszkam. To twoja szansa.



Fragment sycorysy Frandli Szylt

Szyltówna opuściła głowę i ruszyła przed siebie. Przeszła przez ulicę pomiędzy wysiadającymi z aut ludźmi i weszła do hufynku. Dopiero w komórce pod schodami zaczęła tężeć się, jak listek. Siedziała tam kilka godzin przykryta starymi szmatami. Bała się nawet normalnie oddychać. Myślała, co będzie, jak ją znajdą. Żałowała swojej decyzji. Zostawiła przecież ojca i matkę. Z drugiej strony, to oni od wielu dni namawiali ją do ucieczki, że niby nie wygląda na Żydówkę i łatwo jej będzie uciec. Słyszała krzyki wywożonych ludzi i warkot silników ciężarówek. Kiedy odjechały, zrobiło się przeraźliwie cicho. Nashuchiwała głosu, bijącego w przyspieszonym rytmie, serca.

Wieczorem przyszedł Dawid i przyniósł jej kolację.

– Co teraz? – spytała i rozplakała się. – Musisz przeczekać tu z tydzień. Nie płacz. Tak było trzeba.

– A moi rodzice?

Dawid odpowiedział dopiero po chwili.

– Ciężarówki pojechały na kolej do Łasku. Gdzie dalej? Nie wiem.

W ciągu kilku następnych dni dziewczyna nie ruszyła się z miejsca. Niemcy biegali po schodach tuż nad jej głową. Pokrzykiwali. Przeszukiwali wszystkie kąty. Zajrzeli nawet do jej kryjówki, jednak leżąc w ciemnym kącie sterta starych szmat nie przyciągnęła ich uwagi. W końcu opuścili budynek. Frandla postanowiła wyjść z ukrycia i udać się po pomoc do sąsiadów. Do ludzi, o których wiedziała, że jej nie wydadzą.

– Co to za harmider? – spytał panią Marię, siedzący w kuchni u Wejmanów Volksdeutsch Pospiszyl, właściciel maglu.

– Nic nie słyszałem – powiedział Ulański.

Gospodarz wstał od stołu.

– Strzeżonego Pań Bóg strzeże. Pójdę zobaczyć.

Po chwili wyraźnie usłyszeli hałasy dobiegające z korytarza i Wejmana, który od razu, kiedy wrócił do kuchni, zaczął łajać żonę.

– Koguta zamknęłaś pod schodami? Narobił tylko. Mówilem, żeby go do klatki dać, a nie pod schody.

Goście uśmiechnęli się, a pani Maria zrazu zdziwiona, odezwała się bez przekonania.

– Miałam go dać do klatki, ale zapomniałam. Zaraz to zrobię.

– Już go puściłam na podwórko. Jutro będziemy go łapać, mech sobie jeszcze pochodzi przed niedzielnym obindem.

Wejmanowa spojrzała pytająco na męża, ale ten zasiadł ponownie do stołu.

– O czym to mówiliśmy? – spytał.

– A późno już. Czas do domu – Wladek Ulański zaczął się zbierać do wyjścia.

- To i ja pójdę. Do jutra - Pospiszył ruszył za sąsiadem.

Kiedy wyszli, Wejmanowa spojrzała na męża.

- Co ty znowu z tym kogutem wymyśliłeś? Co się stało?

- A to się stało, że do nas, jak do bóżnicy ciągną. Toż znowu gości mamy. Młoda Szyłitówna z getta uciekła. Zemdlała mi tam w korytarzu, hahasu narobiła, a tu jeszcze ten siedzi - wskazał na krzesło, na którym przed chwilą siedział Volksdeutsch. - Niech by tylko się wydało, że Żydom pomagamy... Wsadziłem ją pod schody i nakazałem, żeby cicho siedziała. Strasznie jest wygłodzona i brudna. Idź no, zajmij się nią. Wsadź na strych. Jutro zastanowimy się, co dalej. Ze też cholera akurat wtedy, jak Franek się ukrywa... Parafę też zlikwidowali... - Wejman podrapał się po głowie. - Coś wymyślę, ale rurek mądrzejszy od wieczora.

Kilka następnych dni upłynęło Wejmanowi na załatwianiu spraw związanych z przerzutem dziewczyny przez granicę Wartheland i Generalnej Guberni. Rozmawiał ze znajomymi. Był w Piotrkowie i w Roździeńcu, koło Parzna. Kilkakrotnie chodził do Pabianic. W międzyczasie pani Maria wyjaśniła Frandli, że przeprowadzą ją przez granicę i że dostanie nową tożsamość. Tylko, że jako przyszła katoliczka, musi nauczyć się pocierza. W końcu udało się. Po tygodniu na podwórko państwa Wejmanów wjechał furmanką Michał Dębowski z Roździeńca.

- Szczęść Boże.

- Bóg zapłać - odpowiedział Wejman. - Siadał. Michał - wskazał mu ławkę pod płotem. - Właściwie wszystko już wiesz. Tyle tylko ci dodam, że ta dziewczyna nie musi znać całej prawdy. Zresztą to i dla niej i nas lepiej. Dlatego ty będziesz dla niej Janek. Dokumenty wam zaniósę za kilka dni. Miały być na dzisiaj, ale były pewne przeszkody w Pabianicach u tego człowieka, co mi je wyrabia. To tylko do twojej wiadomości. Chodź teraz do mieszkanka. Powiem jej tylko tyle, ile musi wiedzieć.

Wejmanowa przyprowadziła dziewczynę.

- To jest Janek - pan Adam przedstawił młodzieńca. - Przemieszczasz się za chłopkę i pójdziesz z nim do Piotrkowa. Po drodze przenocujecie jeszcze u siostry mojej żony, Felicji Chrzanowskiej, w małej wsi Żądla, koło Mzurek. W Piotrkowie zamieszkaś jakiś czas u rodziny Janka. Ja tam do was przyjdę. Przyniosę ci dokumenty na nazwisko zmarłej Zofii Dębowskiej. W Piotrkowie zgłosisz się do Arbeitsamtu. Tam wszystko załatwione. Pójdziesz do pracy, do Austrii, gdzie nikt ciebie nie będzie szukał.

- Dziękuję, panie Wejman - powiedziała dziewczyna ze łzami w oczach. - Jest pan prawdziwym bohaterem.

Wejman spojrzał na nią i pogłaskał po głowie.

- Większymi bohaterami są ci, co nie wiedzą komu, a pomagają. Narazają życie swoje i swoich rodzin. A, ja? No, cóż? Przyszła do mnie biedna dziewczyna z prośbą o pomoc. Żaden prawdziwy chrześcijanin nie odmówi w takiej chwili.

Wesele

Niedzielne, wrześniowe popołudnie sprzyjało odpoczynkowi. Ignacy Szkudlarek położył się po obiedzie, a jego żona zamierzała wyjść na podwórko, żeby razem z sąsiadkami poplotkować na świeżym powietrzu. Dzieci: Kasia, Franek, Róża i Kryśka poszły do Hujen odwiedzić rodzinę i nagbierać grzybów, które w tym roku obrodziły jak nigdy dotąd. Nieoczekiwanie ktoś zapukał do drzwi.

- Przyszliśmy na wesele prosić - powiedziała już od progu siostra Szkudlarkowej, Józefa Dąbrowska, wskazując dwoje młodych ludzi, którzy stali za nią, trzymając się za ręce.

- Wstawaj, Ignacy! - krzyknęła pani Teresa - gości mamy. Felek Tyłuś z Czeskiej Szwedzkiej i Józka przyszedł - dodała.

– Chcieliśmy na wesele prosić – powtórzyli młodzi z radosnym uśmiechem. – Tyle wujowi zawdzięczamy. Gdyby nie wuj, to po tym pożarze nie mielibyśmy gdzie mieszkać, a tak chłupa, jak nowa i jeszcze dla nas i gromadki naszych dzieci służyć będzie – powiedział Felek, zerkając na swoją śliczną żonę, która zarumieniała się pod wpływem jego słów. – Zresztą jesteśmy też rodziną, od strony ojca – dodał.

– No tak, rodziną... – powiedział Szkudlarek. – Nawet nie taką daleką, bo to widzisz twój dziadek i moja siostra...

– Ignacy – przerwał pani Teresa – daj teraz spokój. Na stojąco będziesz z gośćmi rozmawiał?

Gospodarz podrapał się w głowę.

– Proszę. Wchodźcie dalej. Siadajcie – zaprosił wskazując na miejsca przy stole.

– Zabrałam się z moimi sąsiadami, bo też nowiny mam, ale później powiem jak – powiedziała Józka i uśmiechnęła się tajemniczo. – A oni – wskazała na Czesię i Felka – już wcześniej planowali się pobrać i lata ku temu mieli. Nie myśleli, że od września Szwaby nowe prawo wprowadzą i znowu wiek podniosą. Teraz chłop może się zenić, jak ma 28 lat, a kobieta – 25. Poszli więc do Protektoratu. Za tydzień wesele. W domu na Zachodniej.

– Szkoda, że nie w naszym kościele – wtrącił Ignacy.

– Byliśmy tutaj – odpowiedział chłopak – myśleliśmy, że po cichu jakoś z proboszczem załatwimy. On sam nas odesłał, bo Niemcy już w czerwcu zabrali im wszystkie pieczętki i dokumenty. Kontrolę jakiejś robią w parafii, że niby to metryki zmarłych parafian wydaje i polskim bandytom pomaga lewe papiery wyrobić. Proboszcz mówił, że jak ostatnia komunია w lipcu była, to już wtedy dzieciom obrazki komunijne dawał bez pieczętki parafii. A po tygodniu, to z drugiej tury komunijnej kilka dzieci razem z rodzicami aresztowali i na roboty wywieźli.

– I wtedy kościół zamknęli – wtrąciła się do rozmowy dziewczyna.

– Już za dzieci się biorą! – zdenerwował się Ignacy. – Skurwysyny jedne, faszyści. Niech ich piekło pochłonie! – zlorzczył.

Pani Teresa spojrzała na siostrę i dla uspokojenia rozmowy zmieniła temat.

– Miałas jakieś nowiny mówić.

– Prawda! – przypomniała sobie kobieta i uśmiechnęła się pogodnie. – List od chłopców przyszedł. Żyją i są za granicą.

Szkudlarkowa przeżegnała się.

– Bogu dziękować. Co dzień modliłam się o nich do Jasnej Pani. Gdzie są? Czemu tak długo nie dawali znaku życia?

– We wrześniu dostali się do łagru⁸⁰. A niedawno zostali zwolnieni i poszli do polskiej armii, jaka się tworzy w Związku Radzieckim. Ich dowódcą jest generał Władysław Anders. I tyle wiem. Za dużo się nie rozpisywali, ale są cali i zdrowi i to najważniejsze.

– Bogu dzięki! – powiedziała ponownie pani Teresa.

– Polska Armia u Sowieków się tworzy? – Szkudlarek spojrzał na szwagierkę z niedowierzaniem. – Chyba coś pomyliłaś. Polscy żołnierze z bolszewikami?

– Nie z bolszewikami, tylko w polskiej armii. Mują polskie dowództwo i o Polskę będą walczyć.

– Tak, tylko jaką? – machnął ręką. – Bo...

– Daj spokój Ignacy. Ważne, że żyją. A Poldek? Jak się czuje?

Szkudlarkowa zmieniła temat rozmowy.

– Już doszedł do siebie, ale długo chorował. Z domu jeszcze nie wychodzi. Wiecie przecież, że więzienie to nie sanatorium, a on najpierw ten Radogoszcz, później obóz w Buchenwaldzie. Sano to, że jak uciekał, to dwa dni w jakimś stawie przesiedział. Tam się doprawił, bo słaby był i wygłodzony. Mało się tam tej amunicji nadzwigał?

⁸⁰ Łagier – ośrodek pracy przymusowej w Związku Radzieckim.

Szkuflarek, widząc, że szwagierce pojawiły się łzy w oczach, złapał żonę wpół, jak do tańca i zaczął się z nią kręcić po mieszkaniu.

– No, to pobawimy się trochę! Popijemy! Potanęjemy i pośpiewamy! Jak za dawnych lat! – kręcili się dookoła. – I pośmiać się trzeba czasem. Póki można.

Zaczął śpiewać weselną przyspiewkę:

„Trzeba się napić, kurde mo! chce tego serce, dusza. Trzeba się napić, kurde mo! póki się człowiek rusza!”

Nadszedł dzień wesela. Młoda para siedziała za stołem na honorowych miejscach, tuż pod wiszącym na ścianie napisem: „Szczęść Boże Młodej Parze”. Weselnicy jedli, pili i tańczyli. Na stołach nie brakowało niczego. Nikt nie poznałby, że to trudne, wojenne czasy. Stały w jednej izbie, w drugiej tańce i grajkowie, którzy wesoło przyspiewywali co chwilę do „Młodych”:

„Chodził do ciebie Jasiek, Chodził cały roczek, aż wychodził tyle, że mu dałaś... jabłko. Oj dana! Oj dana!...”

A ten nasz Pan Młody, bez wąsów i brody. Nogi pokrzywione. Nijakiej urody! Oj dana! Oj dana!...”

Zgodnie z tradycją o północy zaczęły się oczepiny. Właśnie zdjęli pannie młodej welon, gdy do mieszkania wpadli żołnierze.

– Hände hoch! – zabrzmiało, jak grom z jasnego nieba.

Niemcy skierowali lufy karabinów w stronę weselnym gości. Wystraszeni ludzie wstali z rękami w górze. Do środka wszedł Rensner. Wskazał głową w kierunku młodego małżeństwa. Na dany przez oficera znak podeszli do nich dwaj hitlerowcy.

– Pójdziecie z nami – powiedział jeden łamaną polszczyzną.

Po chwili wyszli, prowadząc więźniów, pozostawiając rodzinę w niemym osłupieniu i w nieuczynięjonej jeszcze rozpacz.

Kościół katolicki – represje

Prześladowania wobec ludności cywilnej, głównie Polaków i Żydów, były coraz większe. Na jakiekolwiek akty oporu i działania prowadzone przeciw Trzeciej Rzeszy, faszysti reagowali kolejnymi represjami w postaci aresztowań, deportacji i egzekucji. W zamkniętym kościele Niemcy urządzili magazyn ze zbożem, a 6 października 1941 roku gestapo aresztowało proboszcza Zycha i księdza Olszyńskiego, który pracował w parafii po księdzu Adamczyku. Represje wobec księży katolickich były powszechne. Tego dnia Niemcy aresztowali też proboszcza parafii Parzno, budowniczego żelowskiego kościoła, księdza Jana Grodkiewicza i wielu innych duchownych Diecezji Łódzkiej.

Wojna Niemiec ze Związkiem Radzieckim, która wybuchła 22 czerwca 1941 roku, pociągnęła za sobą ogromne ludzkie i materialne koszty. Każdy Niemiec zdolny do służby wojskowej wcielony był do armii. Fabryki produkujące sprzęt wojskowy, broń i amunicję napędzane były pracą rąk, kosztem zdrowia i życia robotników przymusowych ze wszystkich podbitych narodów Europy. Prowadzenie wojny na dwóch frontach wymagało zwiększenia zapotrzebowania wojska w zakresie sprzętu i uzbrojenia. Do produkcji na potrzeby armii potrzebna była ruda żelaza oraz wszelkiego rodzaju metalowy złom, który można było przetopić w hutach. Niemcy wpadli więc na pomysł wykorzystania dzwonów z katolickich kościołów, jako materiału w fabrykach zbrojeniowych. Zdjęli je z żelowskiej świątyni. Mimo sprzeciwu mieszkańców osady, głównie katolików, rozbili je i wywieźli. Tylko dzwonu w Parznie nie udało się zdjąć, bo nie było możliwości zdemontowania go z wysokiej wieży. Dzwony z dzwonnicy przy kościele w Łobudzicach próbowały „obronić się same”. Kiedy zostały odcięte, wryły się w grząską od deszczu ziemię tak mocno, że niemieccy złodzieje musieli używać koni, aby wyciągnąć je z błota.

Msze u Guderskich

W połowie października ksiądz Zych został zwolniony z aresztu. Wrócił do Zelowa i natychmiast wznowił rozpoczęte już we wrześnie starania o otwarcie kościoła. Pozbawieni swojej świątyni zelowscy katolicy na czele z wybranymi przez nich osobami – proboszczem parafii Zygmuntem Zychem, Józefem Radziszewskim i Franciszkiem Pruszką wysłali do burmistrza Bergera taką prośbę. W odpowiedzi na pismo, Berger wyraził zgodę na odprawianie mszy świętych pod warunkiem znalezienia innego niż kościół, skromnego pomieszczenia.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

– Na wieki wieków – odpowiedziała zdziwiona pani Irena Guderska gościom wchodzącym do jej domu przy ulicy Kilińskiego 3. – Cieszę się z takich odwiedzin, ale ciekawa jestem, co ksiądz proboszcza tu do mnie sprowadza i w dodatku w asyście aptekarza i bąniada... Proszę, proszę siadać – podsunęła krzesła.

Usiedli przy stole. Ksiądz Zych rozejrzał się powoli dookoła i powiedział:

– Szanowna pani Guderska. Z wieloma osobami rozmawialiśmy. W końcu zdecydowaliśmy, że to właśnie pani i ten dom, który zawsze był miejscem praworządności i oddania dla społeczeństwa oraz respektowania przykazań wiary katolickiej, jakie świętej pamięci mąż pani, Wacław, i pani dawaliście, mogłby stać się na te ciężkie czasy Domem Bożym. Nasze władze okupacyjne wydały nam, katolikom, takie zezwolenie, ale póki co, nie możemy modlić się w naszym kościele. Tak sobie też myślimy, że przecież Jezus nie rodził się w pałacach i nie nauczał w luksusach. A podsumowując, przyszliśmy prosić panią, pani Guderska, o zgodę.

Pani Irena zakryła twarz i zaczęła płakać.

– Że też mój mąż tego nie doczekał. Oczywiście, że tak. Zgadzam się.

– No, nie trzeba płakać – zaczął ją pocieszać sąsiad, – Pani mąż też brał w tym udział – Pruszak wskazał ręką w górę – i za jego wstawiennictwem do Pana Boga to się stało.

Kobieta wytarła łzy.

– Bóg zapłać za dobre słowa, ale jeszcze przysłuchi mi na myśl... Jak się tu wszyscy pomieszczą?

– Zimą będzie trochę ciasno, ale latem to na podwórku jest dość miejsca – odparł milczący do tej pory aptekarz Radziszewski.

– Tak – wrócił ksiądz Zych. Tu chodzi o modlitwę, a nie o wygodę. Ważne, że wierni będą mogli spotykać się podczas mszy. Będą mogli wypowiadać się z grzechów i przyjąć najświętszy sakrament. Będziemy chrzcić nowo narodzonych i łączyć w akcie małżeństwa pary chcące założyć rodziny.



Rodzina Guderskich. Od lewej: Józef Guderski z żoną Apolonią. Obok Józefa – Wacław Guderski – przed nim – Irena Guderska. W środku rodzice Ireny – Marianna Zatorska z mężem. Z prawej: Edward i Maria Zatorscy.

Msze będą odprawiane raz w miesiącu. Tymczasem będę korzystał z gościnności pana Radziszewskiego i jego małżonki.

Wkrótce skromne pomieszczenia służące, na co dzień, jako zwykłe mieszkanie, stały się miejscem modlitwy parafian wyznania rzymskokatolickiego. Drewniany kredens, na którym stanął żelazny krzyż, posłużył za ołtarz. Oprócz głównego obrazu zawieszono obok kredensu, przedstawiającego Matkę Boską Częstochowską, na ścianach wymalowane zostały obrazy świętych. Za konfesyjonał starczyły dwa taborety.



Obraz czczony przez wiernych w pierwszym, drewnianym kościele katolickim w Żelowie, a później w domu państwa Gudzichów.

Wywózka Kasi

Niemal co tydzień do Biura Pośrednictwa Pracy przychodziło polecenie dostarczenia robotników do pracy w Niemczech. Czasami zapotrzebowanie było konkretne. Dotyczyło np. tylko kobiet do pracy – w roli pokojówek lub do pomocy przy dzieciach. Pracownicy biura sprawdzali wtedy listy meldunkowe i wysyłali żandarmów po odpowiednie osoby. Aresztowania odbywały się najczęściej nocą.

– Otwierać! – rozległo się walenie w drzwi mieszkania państwa Szkudlarków.

– Schowaj dzieci! – zdążył powiedzieć do żony pan Ignacy.

Do mieszkania wpadli hitlerowcy.

– Wstawać z łóżek! Pod ścianę! Hände hoch! – ryknął pierwszy, który wszedł.

Kryśia i Róża siedziały już w szafie. Jeden z żandarmów spojrzał na listę i przeczytał nazwisko.

– Szkudlarek Katarzyna – spojrzał na wystraszoną dziewczynę. – Ubięraj się! Pójdiesz z nami.

Pani Teresa objęła córkę i zaczęła płakać, ale żandarm złapał ją za rękę i pociągnął tak silnie, że przewrócił kobietę na podłogę.

– Gdzie ją zabieracie? – spytał Ignacy Volksdeutscha Masslicha.

– Nie martw się. Pojedzie na roboty – odpowiedział mu szepcem. – Nie będzie miała złe. Szukają opiekunek do dzieci.

Ciągle poganiana dziewczyna ubrała się szybko i spakowała w jedną, starą walizkę. Ze łzami w oczach pożegnała rodziców i brata. Po kilku minutach wyszła, prowadzona przez Niemców. Wśród domowników zapadła przeraźliwa cisza. Dopiero po chwili zrozumieli, że mogą już nigdy nie zobaczyć ukochanej córki i siostry.

Następnego dnia rano do biura Arbeitsamtu przyszła młoda, szesnastoletnia dziewczyna. Podeszła niepewnie do biurka, przy którym siedział mężczyzna ubrany po cywilnemu.

- Podpisać się miałam – powiedziała cicho.
- Urzędnik spojrzał na nią spod okularów.
- Imię, nazwisko, adres zamieszkania?
- Janina Topolska – podała swoje dane.



Zofia Graczyk



Wymaję do przewozu sanie

- Podpisz się i siadaj – wskazał na krzesło pod ścianą.
- Usiadła, ale po chwili wstała i ponownie podeszła do biurka.
- Mogę już iść do domu?
- Mężczyzna uśmiechnął się.
- Nikt ci nie mówił?
- Czego?
- Jedziesz na roboty do Niemiec.
- Dziewczyna zaniemówiła.
- Ale powiedzieli, że mam się tylko podpisać – miała lzy w oczach.
- No tak. I podpisałaś zgodę na wyjazd – dodał z uśmiechem urzędnik i skinął na kolegę.

- Zabierz ją do tamtych – siedzący obok człowiek przeprowadził Janę do sąsiedniego pokoju, w którym czekało już pięć znanych dziewczyn.

- Ciebie też dorwali? – spytała Kasia Szkuclarek.

- Miałam przyjść, żeby tylko się podpisać. Nawet swoich rzeczy nie wzięłam. W nocy do domu przyszli. Po cywilnemu byli. Siostra zdążyła schować się do szafy, a ja uprosiłam, żeby mnie nie wzięli, a właściwie to coś tam dostali od taty, chyba pieniądze.

- I co to dało? – wtrąciła się do rozmowy Zosia Graczyk.

- I tak nas wywiozą. Tatusz prosił ich i błagał. „Zostawcie mi moje ostatnie dziecko, już czwórkę zabraliście...” I co? – zaczęła płakać.

- Nie rycz. Musimy się trzymać razem, to będzie dobrze – powiedziała najstarsza z nich, Kasia.

Po godzinie czekania przed budynek zajęchały sanie.

- Pakować się – powiedział Niemiec. – Jedźcie na stację w Zduńskiej Woli. Później czeka was jeszcze kawał drogi.

W pierwszych miesiącach 1942 roku z Żelowa, Herbertowa i Buchorzyna Niemcy wywieźli wiele osób, najpierw do Łodzi na ulicę Łukową, a następnie do obozów, gett i zakładów pracy na terenie III Rzeszy.

Egzekucja

Marzec – jak to marzec – przywitał wszystkich słońcem i roztopami. Później było „w kratkę” – w nocy i rano zima, w dzień trochę wiosny. Pogoda zmieniała się co godzinę. W połowie miesiąca wróciły opady śniegu, nocne przymrozki i ciężkie, szare chmury, które nie zapowiadały niczego dobrego. Jednak przyroda stopniowo budziła się do życia. Gawrony, skrzeczając głośno, zakładały wysoko w koronach drzew gniazda, a dzikie gołębie

gruchały, nawołując się wzajemnie. Sikorki i inne pomniejsze ptactwo uwijało się, nosząc piórka i trawki na nowe gniazdko. Jedno życie miało powstać, inne dobiegało końca.

W czwartek 18 marca, prezes Judenratu wszedł do mieszkania, w którym pozostali członkowie Rady z wielkim niepokojem czekali na jego powrót. Usiadł ciężko na krześle i ukrył twarz w dłoniach. Obecni oczekiwali w milczeniu na to, co powie. Nie śmieli przerywać słysząc, że płacze. W końcu wstał. Otarł rękawem twarz i kamiennym, bezbarwnym głosem powiedział:

– Mamy wyznaczyć dziesięciu. Dziesięciu wydać na śmierć. Jutro ich powieszają.

– Aj! Waj! Aj! Waj! – zaczął się ogólny lament.

– Chcą z nas zrobić morderców własnych braci. Jakże mamy wskazać tych ludzi.

– Może zapłacimy? Odstąpią? – spytał Berkowic.

– Nie odstąpią. Przyszedł im rozkaz z góry. Dali nam tylko możliwość wyboru. Możemy wydać kalekich, chorych i starców – tak powiedzieli.

– To też ludzie – rozległy się głosy.

– Dla mnie nie ma różnicy między chorym a zdrowym. Wszyscy chcą żyć.

– A co, jeśli nie podamy nazwisk? – spytał Hersz Mendel.

– My zajmiemy ich miejsce – spokojnie odpowiedział Mayer.

– Mamy dwa wyjścia. Jeśli w ogóle są to wyjścia z tej ciężkiej sytuacji?

– Po pierwsze, możemy ciągnąć losy – wokół rozległy się słowa i szmery – lub... – Mayer uciszył wszystkich gestem ręki.

– Lub... możemy podać nazwiska tych, którzy siedzą u nich w areszcie. Oni i tak pewnie stracą życie.

Wybór był trudny. W końcu, po głosowaniu, wybrali. Okazało się, że jednomyślnie.

– Więźniów i tak wywieźliby do obozu – mówili do siebie nawzajem, chcąc wytłumaczyć swoje decyzje.

Następnego dnia rano wyznaczeni Żydzi ustawili przywiezioną z Belchatowa szubienicę. Długa, drewniana rampa z ruchomą podłogą uruchamianą dźwignią i przebiegającą wzdłuż niej na wysokości około trzech metrów belką, stanęła mniej więcej w miejscu dawnej „białej szkoły”, niedaleko skrzyżowania ulic: Kościuszki i Św. Anny.

W odpowiedzi na hasło Hitlera – „Żydzi więcej nowego Purymu nie dożyją”, egzekucje Żydów odbywały się w każdym większym zbiorowisku na terenie byłego województwa łódzkiego. Niemcy postanowili potraktować je, jak widowisko, którego celem było pokazanie swojej wyższości, zemstę Hitlera za niepowodzenia na froncie wschodnim oraz odwet za podejmowane akcje zbrojne i inne wykroczenia przeciw Trzeciej Rzeszy i jej funkcjonariuszom.

19 marca z samego rana nakazano mieszkańcom gminy, żeby szli we wskazane przez nich miejsce, aby obejrzeć egzekucję. Żandarmi walili w drzwi mieszkań i wyganiaли z domów ich mieszkańców, naganiali ludzi z ulicy i z zakładów pracy. Wkrótce wokół szubienicy zebrali się setki osób. Każdy miał swoje wyznaczone miejsce. Przede wszystkim oddzielnie stali Żydzi, którzy zajmowali miejsca za szubienicą, aż do ulicy Poznańskiej. Miejsca przed szafotem zarezerwowane były dla Niemców. Ignacy Szkudlarek z żoną i synem stali razem z pozostałymi Polakami, za grupą zełwskich Volksdeutscheów, tuż obok domu Glikmana. Rozglądali się z obawą dookoła. Nagle usłyszeli szmer zebranych wokół ludzi. Przeszedł ich dreszcz, kiedy spojrzeli w prawo i zobaczyli skazańców idących ścieżką na skróty, przez łąkę. Patrzyli na nich, jak szli w milczeniu jeden za drugim w towarzystwie dwóch żandarmów. Mogli ich niemal dotknąć. Wyprowadzeni z aresztu Schutzpolizei, przy Kościuszki 16 mężczyźni mieli opuszczone głowy i powiązane z tyłu ręce. Na końcu szedł wysoki, młody chłopiec, o blond włosach. Zupełnie nie przypominał Żyda.

– Jezus Maria! Przecież to Azriel, Azriel Glikzman. Właśnie idzie koło swojego domu... I Michał Łaznowski. Ten ze Szczercowa, co u Berkowiców mieszkał.

– Cicho bądź, bo nas tu zaraz zastrzelą – powiedział Ignacy do żony.

Wszyscy zebrani dookoła ludzie w milczeniu patrzyli na tych, którzy za kilka chwil mieli stracić życie.

Więźniowie zatrzymali się przed zebranymi dostojnikami – osobami odpowiedzialnymi za to, co zaraz miało się wydarzyć. Byli to Hans Berger i Ferdynand Kratochwill, jak również zaproszeni goście: komisarz Belchatowa – Trampler i belchatowski komendant policji – Ross oraz komendant obozu w Radogoszczu – Walter Pelzhausen. Byli to wszyscy Niemcy, którzy bezpośrednio lub pośrednio przyczynili się do zaplanowanej śmierci niewinnych ludzi.

Skazanci weszli na podest. Ustawili się każdy pod przeznaczonym dla niego sznurem. Z tyłu podszedł żydowski policjant. Po kolei zakładał im pętlę na szyję. Niektórzy poprawiali je, kręcąc głowami z powodu związanych rąk. Inni kiwali się, modląc. Jeszcze inni zegnali się z najbliższymi, patrząc w ich stronę.

Azriel odwrócił się i spojrzał na swój dom. Tu się urodził i tu dorastał. Dokładnie widział odległe o zaledwie 50 metrów podwórze i okno swojego pokoju. Czy napłynęły mu do oczu. To już koniec. Już nie zobaczy słońca i gwiazd. Nie poczuje radości bycia ojcem. Nie zestarzeje się i nie będzie bawił wnuków. Te kilka lat tak szybko minęło...

– Eins, zwei, drei – dobiegło do niego, jak zza ściany.

Potem usłyszał już tylko straszny huk opadającej zapadni i poczuł ogromny, przeszywający ciarki, ból. Większość ludzi patrzyła na ten straszny moment, ale byli też tacy, którzy zakryli twarz rękami. Stojący z boku przy szubienicy żandarm Galas, także odwrócił głowę. Dopiero po kilku minutach, kiedy ciała zamordowanych ludzi przestały drgać i bujać się na sznurach, publiczność zaczęła rozchodzić się w milczeniu do domów.



Zakład szewski. Z prawej – Azriel Glikzman.

Niemcy udali się do restauracji Markiewicza na bankiet. Przyjęcie, na ich „prośbę”, zorganizowała Rada Żydowska Żelowa.

Z bólem po stracie swoich współwyznawców i z obawą o własne życie członkowie Rady zmuszeni byli do obsługiwania swoich prześladowców. Podawali im do stołu, kłaniali się nisko i uśmiechali się na siłę.

Hitlerowcy bawili się doskonale. Pełni humoru, podechmieleni i rozbawieni rozkazali przyprowadzić do siebie rabina. Niezwłocznie spełniono polecenie. Starszego, przestraszonego mężczyznę postawiono przed bulgoczącymi piwem oprawcami. Jeden z uczujących Niemców rzucił naczynia ze stołu i przyłożył rabinowi pistolet do głowy.

– Wstań i tańcz! – rozkazał. – A wy – zwrócił się do pozostałych Żydów – wy będziecie śpiewać.

Rabin wzniosł ręce w górę i zaczął się modlić.

– O Jahwe spójrz na służę swego!

Niemiec podszedł do kapłana i z całej siły uderzył go pięścią w twarz. Starszy człowiek upadł na podłogę. Stracił przytomność.

- Aj! Aj! - kilku Żydów rzuciło się z pomocą.

Unieśli mu głowę i zaczęli obmywać zakrwawioną twarz wodą. Po chwili ocknął się i spojrzał dookoła.

- Aufstehen! - ryknął Niemiec. - Tańczyć - wskazał na stół i ponownie zagroził, przystawiając pistolet do skroni poturbowanego człowieka.

Rabin z trudnością wchodził na stół, ale kiedy już wszedł wyprostował się i spojrzał dumnie wokół.

- Śpiewać - wrzasnął hitlerowiec do Żydów.

Rozpoczęli nieśmiało znaną żydowską pieśń.

- Głośniej, głośniej! Podkręć ich trochę - krzyčeli rozochoceni uczestnicy rautu.

- Hevenu Shalom Aleichem - piosenka rozbezmiała teraz głośniej, a rabin rozpoczął tradycyjny żydowski taniec.

Wciąż ponaglany i oklaskiwany przez Niemców tańczył coraz szybciej i szybciej, aż upadł na kolana i został zepchnięty na podłogę przez mającą dosyć występu, publiczność.

Tak „bawił” Niemców w dniu wielkiego smutku i żałoby rabin zelowski kahań - Henoch Krygier - człowiek mądry i pobożny. Posiadający wielki szacunek i autorytet nie tylko wśród Żydów, ale także pośród tych wszystkich, którzy go znali.

21 marca 1942 roku. Niedziela.

Każda dusza zasmakuje śmierci - kiedyś tak przeczytałem. Tak. Przyjdzie czas na każdego, aby pokłonił się Panu Bogu, ale dlaczego to inny człowiek ma decydować, kiedy to się stanie?

Czuje się tak, jakbym miał z osiemdziesiąt lat. To, co widziałem, co czułem, kiedy uchodziło z nich życie zostanie we mnie na zawsze... Coś wtedy we mnie pękło... Nigdy już nie będę taki, jak przedtem.

Jak możesz, Panie Boże, dopuszczać do takich okropności?

Ucieczka z Arbeitsamtu

Zbliżało się południe. Targ w Rynku właśnie się kończył. Ostatnie wozy opuszczały centralny plac Zelowa, a Żydzi porządkowali cały teren.



Żelazów, Rynek - 1942 r.

W głębi, po lewej, widoczna fabryka Lewiego.

- Cześć Michał - powiedział do młodego chłopaka stojącego przy wozie, wracający od Milenicy, Frank.

- Cześć. Dawno się nie widzieliśmy.

Michał Głński z Podwódt był kolegą Franka. Razem naganiali zające wójcowi Maksymowiczowi, kiedy ten jeździł na polowania w lasy podwódzkie, gdzie ojciec Michała był sołtysiem.

- Poganiamy trochę szaraki? - spytał Frank.

Uśmiechając się podał rękę na przywitanie.

Dawne czasy. Michał także się uśmiechnął. Szkoda, że minęły. Teraz to zapęć na drut się łapie, bo strzelac nie wolno dodał. Przyjdź znowu na kuropatwy. Tylko, jak śnieg będzie odpowiedni. Porobimy dziur, nasypimy ziarnu. Poprzedniej zimy to na raz dwanaście mi się złapało.

Aż tyle? zdziwił się Franek.

Jak wsadź dziurę do dziury, zehy sięgnąć ziarnu, to już nie wyjdzie. Tylko nóżki w powietrzu majdają, opowiadali rozmówcy. Na stryszku to przerwał, bo wokół zrobił się zamęt, ogólny popłoch.

Jusna Ch, kera! przeklął Franek. Znowu. Ale mam pecha.

Tym razem nie było sensu uciekać. Podczas rozmowy nie zauważyli, że żołnierze otaczali plac ze wszystkich stron – po cichu, bez samochodów i bez krzyków. Chłopców stali i czekali, patrząc, jak Niemcy zaciskają pierścien wokół kilkunastu ludzi. Po chwili podszło do nich dwóch żołnierzy i ubrany po cywilnemu Dalko.

- Na wóz! rozkazał Volksdeutsch. Ty powozisz, wskazał Michała.

Posłusznie wykonali polecenie.

Tymczasem hitlerowcy wprowadzili zatrzymane osoby na wóz Głbskiego i na dwa sąsiednie. Po chwili furmanki ruszyły ulicą Książkę w kierunku Arthensamu. Aresztanci szepotali coś do siebie, ale idący obok uzbrojeni żołnierze, co jakiś czas ich uciszali. Tuż przed dotarciem do celu, jadący w pierwszym wozie młody mężczyzna zerwał się i zeskoczył. Zaczął uciekać.

Halt! krzyknął za nim żołnierz, kierując karabin w stronę uciekiniera.

Wystrzelił, jednak nie trafił. Uciekinier dopadł do płotu osłaniającego drewnianą, wiekową chałupę. Chwycił oberącz za płot. Pribował wspiąć się, aby przedostać się na drugą stronę. Padł drugi strzał. Mężczyzna zastygł w bezruchu. Po chwili bezwładnie upadł na ziemię. Zatrwało kilka sekund. Kilku cennych dla

złota sekund. Pozostali na wozach ludzie patrzyli przerażeni na to, co się stało.

To Trzmuel z Zekówka, powiedziała jakaś kobieta.

Niech mu ziemia lekką będzie, dodał siedzący obok mężczyzna.

Nie gadać! ryknął Dalko, który wcześniej dotarł na miejsce i stał teraz obok budynku Biura Pracy. Ty wskazał znów na Michała. Wjeżdżaj na podworko. Pozostali tuż czekają na ulicy, dodał do podchodzącego żołnierza. Wystadac i szykować papiery.

Ludzie posłusznie zerwali z wozu i wydawali przepustki i inne dokumenty.

Do środka! padła komenda.

Franek i Michał podali swoje dokumenty zbierającemu je przy wejściu do budynku Niemcowi. W korytarzu stała jakaś urzędniczka. Kazała im czekać i wchodzić kolejno na wozowanie, po czym weszła z pierwszym aresztantem do pokoju.

Ja im będę czekał, powiedział szepciem Michał. Niech głupiego od siebie poszukają. Chodź, pociągnął Franka za rękę.

Chłopców przesuwali się powoli, pomiędzy ludźmi, w głąb korytarza. Wykorzystali odpowiedni moment i w zamierzaniu wywali drugim wyjściem na ulicę. Poszli w kierunku „patrolki”.

Tylko, że wóz i dokumenty zostały, powiedział Franek, kiedy odeszli na znaczną odległość.

Lepiej, że one, niż my, dodał Michał i klepnął Franka w ramię.

A konia z wozem to uciec jakoś wydestanę, dodał.

Franek wrócił do domu dopiero wieczorem.

Jezus Maria! Gdzieś ty był? matka podszła i przytuliła go. Tak się bałam. Podobno dzisiaj łapali w Rynku.

Stawisko - dworakowa wieża obserwacyjna.

Nie możesz mówić, wychodząc, że późno wróciłeś do domu?
dodał z wyrzutem ojciec.

Chłopak spojrzał na rodziców

Przepraszam. Nie planowałem, że mnie aresztują

Matko Bosko! Aresztowali cię? Gdzie? Kiedy? W Ryńku?
matka zaskamlała ręką

Słuchaj, i powiedz, jak było – ojciec wskazał na krzesło.

Franek w kilku słowach streszczył wydarzenia dnia.

Aleś my ich wykołował, co? – zakończył opowieść

– I co teraz? – spytała pani Teresa męża. Zabrali mi dokumenty

Miałem tylko „palcówkę”⁶² – wtrącił chłopak.

Może coś się da zrobić – odpowiedział pan Ignacy. Wiem,
z kim pogadać. Ludzie już to robili. Może sąsiadka Górecka⁶¹
pomocze, przecież tam pracuje. Takie wyciągnięcie dokumentów
gęś dla urzędnika kosztuje – pocieszył żonę



Pracownica polskiego
Arbeitsamtu

⁶² „palcówka” – polska nazwa niemieckiego słowa oznaczającego
⁶¹ Górecka – nazwisko niemieckie

No, ale ty kawalerze jeszcze dzisiaj na noc ruszysz do Bujen.
Jeszcze przeczekaś z tydzień, aż papiery odbiorę i wszystko ucią-
gnę. A jak ciągnie będziesz się piąć po Ryńku – to w końcu się
zgnasz.

Aresztowanie Szkudlarka

Minęły kilka dni. Szkudlarek załatwił sprawę tak, jak obiecał.
Dokumenty Franka i Michała kosztowały goś i dwie kury. Wóz
z kłosa znajomy Niemiec po prostu wyprowadził z podwórka. Nic
pozostało to jednak bez echa. Pracownik Arbeitsamtu, Volksdeu-
tsch z kneisztwa, chcąc przypodobać się zwierzchnikom, zwoził
Johans. Rozpoczęły się kontrole i aresztowania w niemieckich
osiedlach.

Tego dnia pani Teresa nie było w domu. Poszła razem z dzie-
ciem do Bujen. Wzięła dokumenty syna i banki na mleko. Od
smierci swojego ojca częściej zaglądała do rodziny na wieś, aby
przebrać się z mamą i pomóc w gospodarstwie. Ignacy Szkud-
lark był sam w mieszkaniu. Naprawiał piec kaflowy, kiedy na
podwórku weszło kilka żandarmów. Wśród nich wachmistrz po-
licji, Oskar Kube, któremu wszyscy schodzili z drogi. Wszedł
pierwszy do mieszkania. Stanął w szerokim rozkroku w czarnych,
oficerskich butach, granatowym mundurze ze swastyką na lewym
rękawie i pistoletem w kaburze przypiętej do szerokiego, skórza-
nego pasa. Co jakiś czas uderzał bitykowcem po udzie i młotał.
Po dłuższej chwili kiwnął energicznie głową, dając znak żandar-
mom, aby rozpoczęli rewizję. Szkudlarek stał pod ścianą i w mi-
chodzeniu przyglądał się, co robią. Niemcy przeszukiwali szafy, szu-
flady i kufry. Niszczyli i rozbijali, naczyńia rozdrabiali pierzyną
i poduszkę wyrzucali na dwór meble. Kiedy znaleźli zegarek
i pieniądze, położyli je na stole. Kube schował je szybko do kic-
szetu i powiedział krótko do żandarmów:

Zahrac go wyprowadził Szkudlarka na podwórko. Teraz Niemcy weszli do sąsiednich pustych mieszkań. Po kilku minutach jeden z żandarmów wyniósł i podał przeluzinemu pistolet.

O! Co my tu mamy? No, no. Czyje to?

Mieszkania są opuszczone - odpowiedział żandarm.

Kube zwrócił się do Szkudlarka.

Kto tam mieszkał?

- Tam? Gólczykowski.

Gdzie teraz są? - pytał dalej?

Nie wiem. Dawno się wyprowadzi.

Zoochazejmy - powiedział przeciągle Niemiec.

Wracamy - dodał i kiwnął na podwładnych, żeby zabrali węzła i szli przodem.

Po południu Szkudlarkowa z Frankiem, Krysią i Rozią wróciła ze wsi. To, co zastali w domu było straszne. Płacz i lament był wielki. Wejmanowie uspokajali ich, jak tylko mogli.

Jakoś się to wyjaśni. Tereniu - mówiła Wejmanowa, tuląc głowę płaczącej przyjaciółki. - Pamiętasz początek wojny? Też było trudno, a wszystko dobrze się skończyło.

Tak. Tereska. Dobrze będzie. Trzeba w to wierzyć - dodał Adam. - Byłem tam u nich zaraz, jak tylko go aresztowali. Chcąc się czegoś dowiedzieć. Co do Ignacego, to nie mi nie chciało powiedzieć. A tu, to łóżnię będą się nie robić. Szwabiska biorą, co chcą i kiedy chcą. Ladało mi się jedynie wyprosić, żebyście mogli zostać w tych mieszkaniach na górze. bo chcą kogoś do sprzątnięcia i palenia w piecach. Powiedziałem, że ty i Franek się nadajecie. No. i. Tereniu - nie wiem, jak z to jeszcze walzieli, ale też u nich Gólczyka i twojego szwagra.

Pan. Teresa usiadła ciężko na krześle.

Najpierw Kaśka, teraz Ignacy - zakryła twarz i rozplakana się.

Wywózka Baczmagów

Zbliżało się lato 1942 roku. Rmikiem w Zielone Świątki słońce przygrzewało wesoło, zapowiadające ciepły pogodny dzień. Nawet życie budziło się ze snu. Domowe ptactwo wychodziło z kurników. W oborach miewały niewydolone jeszcze krowy. Z pobliskiego lasu dochodziło kukanie kukulki, a pod dachem domu Baczmagów z wrodzoną energią w ty gniazdku jaskółki. Łąka nad rzeką, tuż za domem Baczmagów pokryta soczystą trawą roznobarwnym kwieciami, snowiąca była i lekką mgiełką. Gospodarzo spali jeszcze, kiedy uwiązany przy budzie Burek zaczął złowrogo ajadać. Po chwili na podwórku wjechał ciężarowy samochód z niemieckim wojskiem i żandarmami. Żołnierze rozbiegli się po obejściu. Wbiegł do mieszkania.

Wstawaj! - biegać się! Schnell! Schnell!

Pan Bolesław został wypchnięty na podwórko w samej biele. Jego żona uspokajała ubierała płaczące dzieci. Przed domem czekał już wynajęty przez Niemców wóz konny. Nieco dalej, na drodze, czekały inne podwoje.¹²

Włożyć na wóz - rozkazał żandarm Hanke.

Baczmagu spojrzął na niego.

Gdzie nas zabieracie?

Nie twoja sprawa - odpowiedział opryskliwie Niemiec. - Macie pięć minut.

Pani Stanisława wyszła na dwór. Najmłodszy syn, Józio, trzymał się kureczowo jej spódnicy i głośno krzyczał. Baczmagu spojrzął na rodzinę, potem ponownie na Niemca.

Nigdzie nie jedziemy.

Hanke wskazał się.

¹²Przebieg wojny opisywana dostarczają do dyspozycji organów administracji powiatowej tab. wyjazdu.

Ty polska św nio! — zamierzył się karabinem i uderzył go kolbą prosto w nos.

Mężczyzna chwycił się za twarz i upadł na krwawa. Pomiedzy palcami płynęła mu krew. Córki podbiegły do ojca.

Tatusiu — próbowały go podnieść — ale Niemiec odlechnął je na bok.

Wsiadaj, bo cię zasurzelę — skacrował broń w stronę kłęczącego mężczyzny.

Bolesław wstał powoli i opuścił ręce. Stał tak z rozbitym nosem, w zakrwawionej koszuli — patrzył odważnie na swego prześladowcę. Po chwili wyciągnął ręce w kierunku dzieci — pomógł im wsiąść na wóz. Po nich wsiadła pani Stanisława i mały Józio. W domu pozostała tylko babka Petronela. Stała w oknie i płacząc, żegnała swoich najbliższych przekonana, że nigdy już ich nie zobaczy.

Wóznicy szlieli harem i ruszyli przez Bujny Księżę w kierunku Żelowa. Dojechali do pierwszego kapliczki na rozdrożu, tuż przed mostkiem. Jadący na motocyklu Niemcy, widząc że więźniowie czynią znak krzyża i proszą o pomoc i wstawienie Najświętszą Pannę zatrzymali się. Jeden z hitlerowców podszedł do miejsca ludowego kultu — karabinem rozbił szybkę i figurkę Matki Boskiej. Ludzie, płacząc i amentując, przyglądali się zdarzeniu. Żegnali wywożonych sąsiadów namierzając w ich kierunku znak krzyża, dając błogosławieństwo na drogę. Z jednego z domów wyszedł znajomy rodziny Nuriel przed w hę, na wyciągniętych rękach, bochen świeżego, pachnącego chleba. Podszedł odważnie do wozu i zerkając co chwile na Niemców, podał go Baczmagom. Oprawcy nie protestowali.

Dziękuję ci, Władku — powiedział drżącym głosem Bolesław.

Dziękujemy, panie Piech — powodziły dziewczynki.

W Żelowie zatrzymali się przy nowej, murowanej synagodze. Nie tu ludzi, retę! — pani Stanisława chwyciła się za głowę.

Wysiadaj — padła komenda.

Wprowadzili ich do środka. Wewnątrz panowała nieopisana ciemnota. Ludzie stali obok siebie ramię w ramię. Dzieci i kobiety płakały. Mężczyźni próbowali się porozumiec, co mogą zrobić, żeby wydostać się stamtąd. Po chwili Niemcy ogłosili, że zdołali do pracy poznać dla Rzeszy, aby wspierać ich dzielny naród przy pracy w fabrykach, w domach i w gospodarstwach. Rozpoczął selekcję. Kiedy żandarmi odciągali od mulek male, nieznośne jeszcze do pracy dzieci, rozległ się jeszcze większy lament. Wtórował mu płacz kobiet i protesty ojców. Ci co ze strachem czekali swoje kolejk — tulił się do siebie, modząc się po cichu. W pewnej chwili do Baczmagów podszedł fryzjer Drayling. Wskazał na nich palcem i szepnął coś do ucha stojącemu obok żandarmowi. Wótownik wskazał na wyjście z budynku.

Wychodzić. Jesteście wolni.

Baczmagowie nie namyślali się długo i pospiesznie opuścili budynek. Dopiero po odejściu na znaczną odległość, uwierzyli w swoje szczęście.

Jako Marysia pociągnęła ojca za rękaw — To był pan Drayling. Wujek Józek u niego pracuje.

Tak, dziecko. Tak — jak widzicie nie ważne czy to Niemiec, czy Polak. Wszystko od człowieka zależy.

Wracali do Bujen. Do ich ukochanego domu. Pełni radości i wdzięczności dla Niemca, wujka Józka, ale przede wszystkim u dziękował boga, opatrzenności. Niebo zachmurzyło się i zbierało się na burzę, a go chwili zaczęło padać. Stanęli więc w bramie kamienicy aby przeczekać niegroźny, majowy deszcz.

Chodźmy dalej, mamo? — poprosiła Krysia.

niech puszczamy bo byśmy przemokli do suche nitki.

Ale, mamo. Mówiłaś kiedyś, że na takim majowym deszczu się rodnie, a ja chcę urośnięć — zapewniła dziewczynka.

Rodzice uśmiechnęli się.

I rośniesz. Na pewno urośniesz. Będziesz żyła długo — szepnęli.

Wkrótce rozpoznało się i można już było wracać do domu opuszczając swoje schronienie. Baczmagowie zobaczyli jadące od strony katolickiego kościoła ciężarowe samochody wypełnione ludźmi. Kiedy przyjrzyli się bliżej, okazało się, że pojazdy pełne są Żydów. Samochody zatrzymały się w Ryńku, w pobliżu pompy paliwowej. Wokół natychmiast pojawili się mieszkańcy osady zaczęli wyciągać z kieszonek kawałki pieczywa. Długo chleba polecieli w kierunku wygłodzonych ludzi. Więźniowie wyciągali ręce. Łapali, ile kto mógł. Chowali za pazuchy i do kieszonek, trzymali w zębach i przyskakiwali do pierza.

Boże, jaka straszna jest ta wojna – powiedziała Baczmagowa. Jak to ich czeka?

Bolesław pokiwał głową i dodał:

Chyba jednak nie ma zbyt wielu dobrych ludzi wśród tych Niemców.

Aresztowanie Berkowicow

Plany Hitlera dotyczące ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej realizowane były przez niemiecki aparat państwowy z całą stanowczością i dokładnością. Prowadzone były etapami. Już od wielu lat się zmierzały w jednym kierunku – likwidacji całego żydowskiego narodu. W Żelowie, jak i w całej podbitej przez hitlerowców Europie, trwały aresztowania i wywózki Żydów do obozów śmierci. Żelowskich Żydów Niemcy wywoziły najczęściej do działającego od 7 grudnia 1941 obozu zagłady w Chełmnie nad Nerem. Setki tysięcy ludzi mordowali, a ich ciała palili. Gnęli wszyscy bez względu na płeć i wiek. Ograbionym, odartym z godności i nadziei ludziom, niemieccy oprawcy odbierali najciemniejszy uścisk życia.

- Tata! Tata! Dawid wbiegł do mieszkania. Wszystkich wywożą. Wszystkich. krzychał.

To już chyba koniec – powiedział Salomon do dzieci.

Stali pośrodku małej zby, nasłuchując z przerażeniem dobiegających ze wszystkich stron krzyków, płaczu kobiet, dzieci i mężczyzn. Co jakiś czas słychać było strzały – gardłowe, wrzaski hitlerowskich bandytów. Okręcał rodzinę i zaczął się modlić. Nagle przerwał.

Litkajcie. Należy chociaż spróbować.

A ty tato?

Ja z wami. Tylko musimy się rozdzielić.

Dokąd mamy uciekać? – spytał Dawid. Wszędzie Niemcy.

Nastąpiła chwila ciszy.

Ty Dawid biegnij na dach, a potem... potem zobaczysz. My spróbujemy dostać się na podwórze i do komórek – ucałować dzieci. – Nie płacz, Miriam. Uda nam się.

Wybiegł ostrożnie z mieszkania. Na korytarzu było pusto. Dawid spojrzał na ojca i siostry. Wahał się.

Może nie powinien zostawiać ich samych?

No, biegnij – ojciec popchnął go na schody prowadzące na górę.

Chłopak ruszył, przeskakując po kilka stopni. Ze strychu wydostał się na dach. Położył się i ostrożnie spojrzał w dół. Ulica katolickiego kościoła była niemieckim wojskiem. Policjanci i *Verdeutschte* prowadziły grupy ludzi. Wsadzali ich do ciężarówek. Zawsza dobiegał płacz i lament. Esesmani odbierali matkom dzieci. Mężczyźni bili pałkami po plecach i nogach. Samochody odjeżdżały, przyjeżdżały. Nie nadążały odbierać więźniów. Tych kierowali do fabryki Lewiego. Grupa za grupą szła, zachowując się jakby cicho. Jakby zadowoleni, byli, że zostają. Dawid drgnął. Dostrzegł ojca i siostry prowadzone przez dwóch uzbrojonych w pistolety *Volksdeutsche*. Znał ich doskonale. Mieszkańcy Żelowa – Neuman i Bednarski⁸⁵. W pierwszej chwili

⁸⁵ Bednarski nazwisko niemieckie

chciał biec na pomoc, ale opuszczył głowę i patrzył, jak prowadzili jego rodzinę do fabryki. Przeszło mu przez myśl, że gdyby nie stracił pieniędzy, to może mógłby ich wykupić. A teraz, wszystko stracone... Nagle usłyszał hałas dochodzący od wewnątrz, którym wszedł na dach. Zerwał się, zaczął uciekać. Stał po drugiej stronie niezbyt spadzistego dachu. Rozejrzał się. Dookoła widać było Niemców i wyprowadzanych przez nich niemal z każdego domu, Żydów. Obejrzał się. Ktoś wchodził na dach. Złapał się rynny i zaczął ostrożnie schodzić w stronę podwórka. Kiedy był już blisko ziemi nura odpadła od ściany i runął razem z nią na ziemię. Wpadł do jakiegoś ogródka – na chwilę stracił przytomność. Kiedy otworzył oczy zobaczył pochyloną nad nim pomarszczoną twarz starszej kobiety.

– Niemka – przeszło mu przez głowę.

Starł się podnieść, ale odczuwał skutki upadku. Kobieta pomogła mu wstać.

Chodź. Nie obawiaj się – powiedziała – zaprowadziła go do swojego mieszkania. Właź do szafy i siedź cicho.

Zdażył w ostatniej chwili. Do pokoju wbiegli Niemcy. Gospodyni zamieniała z nimi kilka zdań po niemiecku i chyba ich przekonała, że nie mają tam czego szukać, bo po chwili wyszli. Podszła do szafy i przez zamknięte drzwi powiedziała:

Siedź tam i nie wychodź. Rano pomyślimy, co dalej.

Fabryka Lewiego

Boga nie ma. Boga nie ma! – te słowa z początku powtarzane w koło przez młodego Żyda kłęzącego w rogu przepelnionej ludźmi fabrycznej hali i przerodziły się wkrótce w przeraźliwe krzyki załamanego człowieka.

Błuznisz! – krzyknął na niego stary Żyd, stojący obok.

Ale on nie zwracał na niego uwagi. Zaczął rwać ubranie na sobie i krzychał jeszcze głośniej. Wpadł w szal. Kilku współwznieńców rzuciło się na niego. Próbowali uspokoić tarzającego się po posadzce człowieka. Stare Żydówki przygadywały się ze łzami w oczach straszemu przedstawieniu. Mężczyźni modlili się, kiwając rytmicznie. Dzieci płakały. Wąłemkowie, którzy mieli szczęście stać przy oknach i oddychać świeżym powietrzem, wyciągali ręce przez okienne kraty i wzywali pomocy. Pomocy o którą, wiedzieli, że nie nadejdzie.

Salomon został zamknięty w oddzielnym pomieszczeniu razem z innymi mężczyznami. Dumyślał się, że Sara i Miriam są zamknięte gdzieś obok. Myślał o Dawidzie – „Czy zdołał się ukryć?” W pewnej chwili znajomy Żyd, który siedział oparty o ścianę odezwał się jakby do siebie, ale tak, żeby inni słyszeli.

– Jaki jest sens tak się męczyć, kiedy za dzień lub dwa, co ja mówię? Za godzinę, może nas już nie będzie? Niech to się już raz skończy. Spotkam się wtedy z moją Chaną. I Herszlik przybiegnie i Noem. Pojdziemy razem do parku i nabierzemy kolorowych, jesiennych liści. Dzieci, będą biegać, bawić się pośród tych liści. A Chana będzie się śmiała. Lubie, kiedy się śmieje. Uśmiechnął się do siebie.

Jednak po chwili twarz mu stężała – nabrała groźnego wyglądu. Spojrzał na Salomona.

Wszystko nam zabrali... Wszystko we mnie umarło. To, po co mam żyć? Dla kogo?

Salomon nie spał w nocy. Prawie nikt nie spał. Nagle usłyszał dochodzący zza ściany znajomy, kochany głos. To jego Sara, jego córeczka śpiewała smutną piosenkę.

„W pokoju gwar i krzyk. Przy stole mężczyźni rój, lecz mnie nie kocha nikt. Ach. Gdzie najdroższy mój? Ach. Jak smutno jest dziewczynie, gdy jej życie bez miłości m. nie...”

Cały teren wokół fabryki otoczony był wysokim, drewnianym płotem i drutem kolczastym. Przy furtkach i przy bramie stali żandarmi. Wejście na teren więzienia odbywało się tylko za okazaniem odpowiedniej przepustki. Jednak czasem można było znaleźć inny sposób.

Słyszalas, Stefciu, co wieczór, u Lewiego wyprawiali? Aż tutaj było słychać te straszne krzyki – powiedziała do Ulańskiej Janina Smolina, sąsiadka z naprzeciwka.

Pani Stefania złapała się za głowę

Nie mogłam tego słuchać. Zakryłam uszy i modliłam się. Janka mówiła dalej

Wszystkich ich wywiną. Najgorzej, że nie ma już nadziei

Zawsze trzeba mieć nadzieję – odpowiadała Ulańska.

Może masz rację – zastanowiła się chwilę nadzieja, choćby niewielka, ale trzyma nas przy życiu kiedy wszystko wokół zawodzi. Bez niej, bez wiary w spełnienie naszych pragnień, człowiek traci sens życia. Ale przedtem, to chociaż mogli tam pracować i jeść im dawali, a teraz to nawet wody do picia nie dostają. To bestie, nie ludzie. Gdybym tylko mogła, to zaraz bym im coś do jedzenia zaniósła, ale nie puszczę. Chociaż? Jest tam jeden tak znajomy policjant, nazywa się Ulas. Kiedyś to był dobry człowiek. Może nas puści? Warto spróbować. Może uda się podać jedzenie, chociaż dla kilku osób.

Pojdę z wami, mamo – powiedziała siedmioletnia córka Smolnych, Terenuś.

Po kilku minutach podeszły pod bramę wejściową fabryki.

Stać. Nie wolno. Udzić się panie wybrały? żandarm zastąpił im drogę

Panie Ulas, z pana jest dobry człowiek. Nie słyszy pan tych ludzi? Proszą tylko o kawałek chleba. Tam są matki i dzieci. Ma pan przecież dzieci. Przecież broni im nie nieśliemy. Niech pan sam zobaczy

Nie wolno mi. Nie mogę was wpuszczać. Chociaż chciał odpowiedział spokojnie mężczyzna.

Smolina zważała się chwilę, szukając sposobu na przekonanie wartownika.

A moją Tereskę pan puści?

Niemiec spojrzał na skromną, szczupłą dziewczynkę. Rozejrzał się wokół. Zastanawiał się. W końcu ustąpił.

Niech poda, co ma podać i zaraz niech wraca

Pochwilił się nad dzieckiem i stanowczym głosem powiedział:

Biegnij dziecko i szybko wracaj. Rozumiesz?

Tereska sknęła głową.

Nazego od nas nie bierz – krzyknął jeszcze za biegnącą już dziewczynką.

Po chwili Tereska była na miejscu. Zobaczyła dziesiątki szarych „przyklejonych” do krat, a pomiędzy kratami setki wyciągniętych rąk.

Tutaj! Tutaj! – wołali jedni, przez drugich.

Z pierwszego i z drugiego piętra poleciały w dół liny zrobione z pancerch. Dziewczynka przywiązała torbę z jedzeniem do jednej z nich. Przesyłka ruszyła szybko w górę, ale nie dotarła do adresata. Już na parterze została przejęta przez wygłodzonych ludzi.

David siedział na strychu od dwóch dni. Każdy szmer, każde puknięcie, czy dobiegająca z oddali ludzka mowa powodowały, że odczuwał strach przed aresztowaniem. Chował się wtedy szybko do wąskiej, ciemnej kryjówki, jaką urządził sobie, narysowując kilka desek w podłodze. Po wygrzechaniu ocieplenia z trzcin kładł się z drugiej strony sufitu mieszkania znajdującego się pod nim i nasuwał deski podłogi na siebie. Czuł się jak w trumnie i niewiele bezpieczniej, ale to jedyne, co mógł zrobić. Dwa razy dziennie starsza pani przynosiła mu trochę jedzenia i wodę do picia. Od czasu do czasu obserwował przez nacięcie nieniekiedy pod dachem to, co działo się na ulicy. Przypominały mu się czasy, kiedy zaraz po przyjeździe do Żelowa robił tak ze swojego strychu, ale wtedy patrzył na zupełnie inny świat. Kolorowy i pachnący. Świat dziecięcy i bez troski.

Trzeciego dnia, wczesnym rankiem obudził go warkot silników. Wyrwał przez swój łufcik. Na ulicy znów pojawiły się samochody. Okryte brezentem naczepy nie wróżyły niczego dobrego. Wkrótce pojawili się żołnierze i zablokowali motorami ulicę. Żandarmi prowadzili pierwszych więźniów. Obdarci, beudni wycieńczeni ludzie szli w milczeniu, pomagając sobie nawzajem. Dawid dostrzegł Sarę, która szła, trzymając siostrę za rękę. Próbował nie płakać, ale łzy same cisnęły mu się do oczu. Dławił oddech. W następnej grupie szedł jego ojciec. Jako jeden z pierwszych wszedł na kipę.

Zamykać kłapę! krzyknął żandarm do kierowcy już pełni.

Niemiec wyszedł z szoferki i spojrzał na tył samochodu.

Jakie pełno? Te parchy porozmawiały się, jakby na wakacje jechały – uśmiechnął się do policjanta.

Wrócił do auta. Dodał gazu – ostro ruszył z miejsca. Po kilku metrach nagle zahamował i powoli cofnął.

- No, ładujcie – powiedział zadowolony z siebie.

Hitlerowiece upchnął jeszcze kilka osób. Po czym zatrzasnął zamkniętą kłapę. W tej samej chwili, w całym tym tłumie i zamieszaniu, rozległ się przeraźliwy krzyk i płacz dziecka, a zaraz potem, krzyki kobiet.

- Mordercy! Bandyci!

Spod zamkniętej tylnej burty auta wystawała zakrwawiona, wisząca tylko na kawałku skóry stopka niemowlęcia. Krew spływała na ulicę.

Dawid patrzył na te bestialskie poczynania z narastającym, niewyobrażalnym gniewem. Chciał biec na dół i zabić wszystkich. Jednak nie mógł nic zrobić. Zagryzł wargi do krwi. Był bezsilny. Mógł tylko zostać i przyglądać się, jak idą i giną. Wkrótce wszystko uciechło, ale w głowie i sercu Dawida panował chaos. Ciągle miał przed oczami minionie wydarzenia. „Co się stanie z jego rodziną? Czy przeżyją?” myślał.

Nie mógł pogodzić się z tym, co się stało. Postanowił, że nie może dłużej zostać w Żelowie. Kiedy pan Kelm przyniósł mu jedzenie, poprosił o zeszyt i ołówki. Dostał je wieczorem razem z kolacją. Wyszedł w nocy, zostawiając na karcie tylko jedno słowo „Dziękuję”. Przeszedł niezauważony na drugą stronę ulicy. Wszedł szeroko otwartą, przez nikogo niepilnowaną bramą, na wyludniony teren fabryki. Na placu, po lewej stronie leżała sterta metalowych przedmiotów: kółka, miski, garnek, i nocniki. Cały, zagrabiony przez Niemców żydowski dobytek. Szedł dalej. Minął pozabawiony szyb budynek, który jeszcze kilkanaście godzin temu był więzieniem dla setek jego pobratymców. Następnie, w poprzek przez ulicę Wschodnią i przez niewielką rzeczkę dotarł do ulicy Dzielnej. Szedł w kierunku Bujen i starej, ukrytej w lesie ziemianki.

Ziemianka

Noce były już chłodne, ale w ciągu dnia słońce mile przygrzewało. Las pełen był grzybów i jeżyn, a rośliny i zwierzęta nie myślały jeszcze o jesieni.

Dawid obudził się o świcie i poczuł głód. Zastanawiał się nad swoją sytuacją. „Wodę do picia ma w rzece, ale na samych, suchych grzybach nie da się żyć”. Postanowił iść po pomoc do Baczmagów, których dom stał w niewielkiej odległości. Znał go przecież. Tyle razy był tu z Frankiem. To dobrzy ludzie. Na pewno mu pomogą.

Panie Bołku! Panie Bołku! zapukał w okno wychodzące na łęk przy rzece.

Święci Pańscy! powiedział Bolesław Baczмага, widząc znajomą twarz. Bogu niech będą dzięki. Żyjesz – dodał i szeroko otworzył okno.

Panie Baczмага. Ja tylko na chwilę. Nie chcę was narażać, zaraz sobie pójdę, ale czy mógłbym dostać kromkę chleba?

Gospodarz podał mu jedzenie

Jakże y się uratował? Słyszeliśmy ze wszystkich was w wzięli.



Dom Baczmagi na ul. Stawki 12 w Piłku w Rymkach-Kuczkach

Dawid opowiedział w skrócie co wydarzyło się poprzedniego dnia Baczmaga słuchał co chwilę wygrażał pięścią w powietrze

Niech jasny piorun tych Hitlerowców!

Pani Stanisława która przyszła do kuchni zobaczyć co się dzieje płakała.

Słuchaj, Dawid Baczmaga rozprzał się dookoła. W domu nie możemy cię schować. bo ciągle tu do nas roznosi przychodzą. Może w stodole na kilka dni?

Dziękuję panu, ale najlepiej, jak zostanę w naszej ziemiance. Pamiętaj pan, jak ją budowaliśmy? Będzie mi tam wygodnie. Ty, ko gdybyś mógł dostać trochę jedzenia.

Dostaniesz, dostaniesz. I koci dostaniesz. Baczmaga jeszcze nikomu w potrzebie nie odmówił.

Zresztą nie ty jeden pod to okno przychodzisz. Jak będzie uchylone to możesz sobie wchodzić i brać co na kuchni będzie przygotowane. Tak będzie dla nas i dla ciebie bezpieczniej. W razie czego to powiem że podkradałeś jedzenie bez naszej wiedzy. a i ty nie będziesz tak pod oknem wystawał.

Tak Ma pan rację. Już lecę. Dziękuję.

Przyjdź jak się ściemni. dodał do oddalającego się chłopaka.

i było przedziałek 21 września 1942, ale straciłem rachuby

Jestem sam. Sam na tym świecie. I nie mam siły. I nie mam odwagi tego skonać. Jakże wewnętrzna siła mi waży. Zycie to ciemne myślenie jest grzechem. Tytuś także chciałoby żyć a ty chciałbyś sam znieść. To waży tylko Bóg.

Znowu śniła mi się moja Mamele. Szała po łacie pełnej kwiatów i smaku. Miriam za rękę i smiechała się do niej a ona podskakiwała radośnie i też się śmiała. Moja mała Sióstrzyczka. Moja Anieluszek.

A później rozlega się huk i huk i krzyki i nawoływania. Mamecujone Miriam do ław. Biegną, przewracają się i obudziliem się z tym potem. Chyba miałem gorączkę a może to tylko przez ten sen? Może przez wspomnienia. bo widziałem straszne rzeczy. Widziałem pola Armagedonu. stałem po trupach. Słyszałem dźwięk przeraźliwy. ostatni karabin wystrzał i nic nie mogłem znieść. i stałem i duszę niewiadomą wzrok tylko słuch tylko. rozum odhierało. Coż oni uczynili? czemu zawinił? czemu moja mała Sióstrzyczka. moją wspaniałą kwiatówkę. i zniechęcał po całym. już ich nie zobaczę. Ika moje serce. Ika moja dusza.

Czy to ważne, który jest dzisiaj?

Siedzę już tu ponad dwa miesiące. Codziennie to samo. Budzę się o świcie i idę po jedzenie do Baczmagów. Gdyby nie oni, gdyby nie ci dobrzy ludzie, to już by mnie nie było. Później rozmyślam. Wspominam dawne dobre czasy. Jak uczyłem Miriam grać w karty i w domino. Jak bawiliśmy się w chowanego.

Myszę o Mamie i Tacie. Ażule ze święt rozpatruję od nowa. Przypominam sobie, jak rozdawaliśmy z Sarą macę i bogiele w święta Purim i jak wytarwialiśmy w oknie chanukę podczas Chanuki, a szczególnie lubię wspominać Pesach – najważniejsze i najpiękniejsze z naszych święt.

I czasem puszę, jak teraz, ale zostaty mi tylko dwie kartki. Muszę oszczędzać. Wokół cisza, spokój. Tylko od strony wschodniej niekiedy do mnie jakiejś krzyki i upadanie pnia, ale słychać też śmieci, które biegają i bawią się w chowanego.

Te straszne myśli już minęły. Czas wszystko leżę, guś ramy. Może nie do końca, ale czuję się lepiej. Jestem taki, jakby spokojny i cicho. Jednak szukam tej ukrytej głębi, która we mnie dawnej mitała do życia. Wiara i nadzieja. Tak, muszę wierzyć. Zaczynam wierzyć, że będzie lepiej. Bez wiary w Boga, w ludzi, w siebie życie byłoby pozbawione sensu. Tak myślę. Tak czuję.

Dawid przyzwyczaił się do nowych warunków i niemal polubił swoje nowe mieszkanie, a zwłaszcza ciszę i spokój, które panowały dookoła. Po tak długim okresie strachu, bólu i panującej wokół przemocy, mógł w końcu poczuć się bezpieczny i niemal wolny. Mogłoby zostać tu na zawsze. Pogoda mu sprzyjała i miał co jeść, a jesień nadeszła późno i była wyjątkowo ciepła.

Mijały dni i tygodnie. Niestety natura ma swoje prawa i z początkiem grudnia zrobiło się nagle bardzo zimno. Spadł śnieg, a nocą mróz bywał tak silny, że woda na rzec zaczęła zamrzzać. Musiał postanowić, co dalej.

Spotkanie

Dawno cię nie było – powiedziała Stanisława Baczmag do wchodzącego do izby Franka.

Witaj ciociu – uśmiechnął się serdecznie.

Dziewczynki podbiegły z piskiem i zaczęły wieszać się kuzynowi na szyi.

Przewróćcie mnie – żartował.

Nie! Nie przewrócimy! – dzieci śmiały się i skakały z radości. – Stęskniłyśmy się za tobą.

Dajcie mi spokój – Baczmagowa pogroziła córkom palcem.

Siedaj do stołu i mów, co u was? Zupa już gotowa, to ci nakęję, a z obiadem poczekamy, aż wujko wróci.

Ostatnio to chyba na wykopkach u was byłem, ale to dlatego, że dostałem pracę w tej ekipie remontowej, co jest przy Cmentarzu – Franek jadł i opowiadał.

Ciotka spojrzała na niego.

W tej co ojciec robił, zanim go wywieźli? – spytała.

W tej samej.

A ty, co tam robisz?

No, teraz właśnie przerwa, bo mróz przyszedł. Dlatego nie idę teraz do was. Ale wczesniej, to różnie. Ojciec, jak je wieczem pracował, to najpierw kończył budowę nowego Arbei-santu na rogu Północnej i Kilińskiego. W tym domu, co to właścicielem był wasz wuj Maksymowicz, też go wywieźli – dumnie zabrał.

Wiem przecie, gdzie mieszkał i że go zabrał. Toć to nasz wuj był, a nie wasz. Boże, Boże, co to za czasy?

No, tak. Co to ja mówiłem? Ach! No i jak w lutym skończyli z tym Arbei-santem, to poszli do Czechów kończyć budowę plebanii. Teraz tam Berger siedzi.

Też słyszałem. Pytałam, co ty robisz?

No, rano to najpierw pale w piecach w łaźni. Później idę do roboty i różnie, maluję, dziury w ścianach latam lub tynkuje.

Trochę się przecież na tym znam. A wieczorem razem z siostrami pomagam mamie ładnie sprzątać. A w ogóle to te robocie, to pan Longin Grodkiewicz mi załatwił. On też tam robił, ale teraz pracuje w sklepie żelaznym u Volksteutscha Dalkego. No, wiecie, pan Longin, brat naszego byłego proboszcza, Jana Grodkiewicza.

Łospodyni przytaknęła głową.

Ciekawe, gdzie teraz jest biedaczysko? Jak go ponad rok temu z innymi kapłanami zabrali, to słuch o nim zaginął.

— To ciocia nie wie? — zdziwił się Franek. — A jednak jest coś czego ciocia nie wie — dodał z satysfakcją.

Ty się nie wymądrzaj tylko maw jak wiesz — fuknęła na niego delikatnie i uśmiechnęła się.

Franek spoważniał i mówił dalej.

Już na początku maja przyszła wiadomość, że zginął w obozie w Dachau. Tylko paczkę z ubraniami przysłali.

Mój Boże — kobieta załamała ręce i usiadła na krześle obok Franka. Wszystkich nas wymordują — dodała. — A zobacz Franek, co oni z tymi Żydami potrofu! Ledwie się gdzie jacy uchowali, a tyle ich było. Martwię się o Dawida, bo zima coraz większa.

— Jakiego Dawida? — chłopak spojrzał zdziwiony na ciotkę.

No, jak to jakiego? Przecież, że twojego Dawida. Tego, co to razem we wakacje po komórkach czekałście i driadek się denerwował, że dachy pożarywacie. Prawda. Ty nie wiesz, że on już od września w jesie, w waszej ziemiance się ukrywa. Wyrwał mi się, a miałam nikomu nie mówić. Tak prosił Dawid.

Franek nie słuchał już dalej, tylko włożył szybko buty, kapotę i pognął co sił, w kierunku lasu. Po kilku minutach stał już przed białym, okrytym śniegiem pagórkim i odsłaniał im tylko znaczejście.

Dawid szepnął, wchodząc do środka, Jesteś tu?

Zanim jego oczy przywykły do panującego wewnątrz mroku usłyszał znajomy głos.

No, nareszcie. Zapomniałeś o przyjacielu — powiedział z wyrazem Dawid.

Ja nie wiedziałem. Ja myślałem, że ciebie razem ze wszystkimi wywieźli. Jak Boga kocham — Franek dumaczył się jak tylko mógł. Skąd miałem wiedzieć, że uciekłeś? Dowiedziałem się dopiero dzisiaj, jak przyszedł. Nie byłem u wujostwa prawie cztery miesiące. Naprawdę. Przecież wiesz, że gdybym wiedział!

No, dobrze już, dobrze. Prosiłem twojego wuja, żeby nie mówił nikomu, nawet twojej matce.

Puwnali się serdecznie i długo rozmawiali. Najpierw o złych rzeczach, później wspominali stare, dobre czasy. W końcu trzema tylko rozmawiać o przyszłości. Ustaliłi, że Dawid nie może zostać w kryjówce przez zimę. Nie może też wracać do Żelowa. Największą szansę przeżycia dają mu nowe papiery, zmieniające nie tylko nazwisko, ale także pochodzenie — oraz legalna praca na terenie Trzeciej Rzeszy.

Granica

Zbliżała się północ. Franek uchylił jedną z desek stodoty, w której siedział w oczekiwaniu na dogodną do przejścia granicy porę. Spojrzał w niebo. Wielki, okrągły księżyc raz po raz wychylał się zza szybko przepływających, pochanych wiatrem, chmur.

No, to czas na nas — Franek pierwszy wyszedł ze stodoty.

Niedobrze, że tak widno — odezwał się Dawid.

Jest Wigilia. Komu będzie się chciało luzić w taką noc. Do tego wieje, jakby pies się powiesił.

Weszli pomiędzy krzaki i chaszczę, które rosły tuż za ostatnimi zabudowaniami wioski. Szli w kierunku rzeki. W nocy wszystko wyglądało mroczniej. Poruszające się na wietrze, porzbawione

Łści gałęzie drzew i krzewów ożywały, wydając dziwne, piszczące dźwięki. Śnieg skrzypiał pod nogami, a z pobliskiej wsi dobiegało wjadanie psów. Wszystko to tworzyło atmosferę tajemniczości.

Idź za mną. Franek osłonił ręką usta, bo zimny wiatr nie pozwalał mu mówić.

Nie zabłądzimy? spytał Dawid.

Tyle razy tu chodziłem, że z zamkniętymi oczami bym trafił. Nic się nie martw. Przejdziemy teraz w prawo i dalej brzegiem. Tam w jednym miejscu jest wąska, to przejdziemy po porze, który leży w wodzie.

Już po chwili przeprawiał się na drugi brzeg Urabę. Przed nim rozciągała się pusta przestrzeń. Do lasu było około sto metrów. Zatrzymali się na chwilę.

To najtrudniejszy odcinek. Właściwie można go obejść, ale straciłobyśmy z godziny. Gotowy? Franek spojrzał na Dawida, który stał tuż obok, trzęsąc się z zimna, a może także ze strachu.

Biegnijmy. Zakończymy i zaczął biec w kierunku widocznego przed nim ciemnego pasma drzew. Byli już w połowie drogi, kiedy usłyszeli gdzieś za nimi głośne:

- Huli! Huli!

Rzuciły się strzały. Chłopcy nie oglądali się za siebie. Biegli leżąc w nogach z jedną tylko myślą: Jeszcze trochę. Jeszcze kawałek. Widział przelatujące tuż obok nich pociski, które całym seriami rozbryzgały śnieg dookoła. Wpadli pomiędzy pierwsze drzewa. Nagle Dawid zaczęło nogami o krzaki suchych jeżyn. przewrócił się. Probowal się wyplątać, ale po chwili uspokoił się i ociszył. Spojrzał w kierunku, skąd jeszcze przed chwilą do nich strzelano. Przy mierzającym się od księżycu śniegu wyraźnie było widać miejsce, z którego wyruszyli. Wokół było pusto. Pomyślał o przynajmniej.

„Franek biegł tuż przed nim, wpadł między drzewa. Pewnie czeka teraz na niego za jakimś pnem” zaczął powoli odczepiać ubranie od kołców.

Nie wychylał się jeszcze. nie śmiał wołać Franka. Przeleżał tak dobre pół godziny. W końcu postanowił doczołgać się do najbliższych drzew, do których brakowało tylko kilku kroków. Wszedł w las, poczuł się bezpiecznie, krzyknął przytłumionym głosem:

Franek!

Kiedy nie uzyskał odpowiedzi, wrócił na skraj lasu i zaczął wypatrywać śladów na śniegu. W końcu znalazł i ślady Franka. Przysiadł siedząc oparty o drzewo, kilkadziesiąt metrów dalej.

Wiedziałem, że będziesz na mnie czekał. powiedział cicho.

Franek nie odzywał się.

Spisz? podszedł do niego bliżej i potrząsnął go za ramię. Chłopak odskoczył. Odezwał się słabym głosem:

- Znalazłeś mnie.

Szedłem po śladach. Trochę to trwało, bo wpadłem w jeżyny. Niko nas nie goni. Wstawaj. Idziemy, bo zamrzniemy tutaj.

Franek kiwnął ręką na znak, żeby Dawid pochylił się nad nim i powoli wyzreptał:

Dobrze, że nie mieli psa, bo bykoby po nas. Ma się trochę tego szczęćka, co?

Dawid spojrzał na niego zaniepokojony.

- Co ty tak cicho mówisz? Nikogo nie ma.

Przyjrzał się bliżej siedzącemu wciąż na ziemi koledze. Dopiero teraz spostrzegł na śniegu, tuż obok Franka, wielką, czarną plamę.

Trafił cię? Franek powoli skinął głową. Sprowadzę pomoc. chciał natychmiast ruszyć w drogę powrotną.

Czekaj. powiedział z wysiłkiem banny chłopak. Czekaj. Niech złapie trochę tchu, to sam pójde. Czekaj, Dawid, czeka. Niech złapie... mówił z wielkim trudem.

Dawid schylił się jeszcze raz, aby coś usłyszeć. Franek odychał ciężko, ale mówił dalej.

Słyszysz, jak cicho? ... a ludzi pełno w kościele... na pasterkę przyszedł.

Franek, Franuś. Dawid objął go za szyję. Będzie wszystko dobrze. Zaraz sprowadzę pomoc. Zobaczysz, wszystko będzie dobrze. usiadł obok, złapał go za rękę. Oczy miał pełne łez.

Słyszysz, Dawid? Śpiewają. śpiewaj z nami, śpiewaj. Bog się rozczył, moc trachleje. głowa opadła mu na piersi.

To były jego ostatnie słowa.

Dawid długo siedział na śniegu obok martwego przyjaciela ostatniej, bliskiej mu osoby. Nie płakał, ale oddech dawał mu jakiś wewnętrzny ciężar. Złoty, olbrzymi, niewyskwiłony i nieoparty. Mógł się w duchu. Obwinał siebie i swój los. Obwinał ludzi. Boga, i pytał go „dlaczego?” „Dlaczego właśnie Franek, a nie on? Gdyby mógł cofnąć czas, oddałby swoje życie za życie przyjaciela. Jego i tak złapał i zastrzelił. On i tak nie ma już dla kogo żyć. Ale Franek? Na niego czekają. Czy tak musiało być?”

Rozmyślał o przeznaczeniu.

„Dwa razy Franek wywinał się śmierci. Dwa razy udało mu się jej uciec. Ale ona łatwo nie rezygnuje. Nie daje za wygraną. Kiedy już raz go dotknęła swymi kościstymi rękami, kiedy swym zimnym i stęchłym oddechem owiała, kiedy już ciepło jego ciała poczuła, to wszędzie go szukała, wszędzie węszyła i znalazła. I już nie puszczą.”

„Co teraz?” pomyślał. „Jeśli wróci, może znów trafić na niemiecki patrol. Sam nie da rady przenieść ciała przez rzekę. Może iść dalej, ale nie wiadomo dokąd. Nie zna adresu. Nie. Przecież go tu nie zostawi. Co ma być, to będzie.” zdecydował, zaczął iść ku rzece.

Po kilkunastu minutach puknął już do drzwi domu państwa Chrzanowskich.

Kto tam? zapytał przez zamknięte drzwi gospodarz.

Strzelali do nas. Franek nie żyje.

Mężczyzna uchylił drzwi.

Zablił Franka powtórzył. Leży przy pierwszych drzewach za polaną. Sam nie dałbym rady go przynieść.

Mężczyzna przeczął się, słysząc taką wiadomość.

- A ty? spytał.

Co ja? Ja wracam. Idę do Piotrkowa. Do domu nie mam już po co. odwrócił się i pognął ją samą drogą z powrotem.

Szedł, byle dalej. przed siebie. Błądząc w śniegu, potykał się co jakiś czas o wystające konary drzew. Nie miał już nikogo bliskiego. Nie wiedział, co przynieść dzieć. Jak, los jest mu pianny. Ale bardzo chciał żyć. Po prostu żyć.

Z samego rana w Boże Narodzenie wyjechały do Wejmanów na podwórko sanie ciągnięte przez dwa karie konie. Na dźwięk dzwonek uwiecznionych przy końskich sztychach, pani Maria wyszła przez okno.

Swagier z żoną powiedziała zdziwiona do męża.

Kiedy Wejmanowa zobaczyła, że Chrzanowski zapchał samemu niemal pod drzwi, natychmiast wybiegła na dwór z przeświadczeniem, że coś się stało.

Jeszcze Maria! Coś z Felicją, czy z dziećmi? spytała niespokojna o siostrę.

Wejman wyszedł z domu w ślad za żoną. Od razu zauważył dość spory pakunek przykryty płachtą na tyle san. Podszedł bliżej. Spojrzał pytającym wzrokiem na Chrzanowskiego.

Chłopaka przywoziłem. otrzymał smutną, stanowczą odpowiedź.

Wejmanowi ogięły się nogi.

Franek? spytał cicho.

Tak. potwierdził mężczyzna.

Pani Maria złapała się za głowę
O Boże! O Boże! To przez te wasze zaczęła szlochać
Jak my to powiemy Tereni, jak to powiemy!

Pogrzeb Franka odbył się zaraz po świętach. Chcąc uniknąć pytań Niemców o przyczynę śmierci, matka pochowała go niemal po kryjomu. Obawiała się też, aby nie powtórzyło się to, co stało się kilka dni wcześniej, kiedy Niemcy urządzili przy cmentarzu obławę. Landarm Niemceczek i Volksdeutsch Neuman z pomocą żołnierzy aresztowali, wtedy wielu ludzi.

Po pogrzebie Szkuclarkowa długo nie mogła dojść do siebie. Nie płakała i nie narzekała, ale nie nie mówiła. Siedziała całymi godzinami, wpatrzona, gdzieś daleko przed siebie. Prawie nie jeła. Róża i Krysta popłakiwały cały czas po kątach. Wszystkim zajmowała się Wejmanowa. Nie tylko pomagała dziewczynkom zajmować się domem, ale także przejęła obowiązki przyjaciółki, zwracane z pruką w łazni, tłumacząc Niemcom, że to tylko na czas choroby dotychczasowej, pracownicy. Wierwany do pań Teresy lekarz zapisał leki i zalecił spokój.

- Czas go, wszystkie rany - powiedział.

Tak minął niemal miesiąc. Pewnego dnia Wejmanowa weszła, jak ci dzień do mieszkania Szkuclarków. Chciała sprawdzić, co słychać, przeczytać przyjaciółce list, który właśnie otrzymała.

Tereni. List od młodej Szyltówny przyszedł. Dopiero, co go ze skrzynki wyjęłam. Frandla pisze, że jest w Austrii. Uogólnie ma się dobrze. Do pracy w fabryce broni w Leiten wybrała ją dwóch austriackich generałów i pracując przy kontroli technicznej lub do różnej broni. Myślą, że jest Polką i dobrze ją traktują. Są z niej zadowoleni. Uśmie się porozumieć, bo kolegowala się w Żelowie z Polkami, Niemkami i Czechkami, więc zna te języki. Teresa spojrziała na przyjaciółkę.

Przynajmniej jej jakoś się to życie ułożyło. Po tylu nieszczęściach.

Maria przysuliła jej i ze łzami w oczach powiedziała:

Nareszcie Tereniu. Moja kochana. Nareszcie. Zobacysz, wszystko się ułoży.

Obóz pracy

Nadeszła wiosna 1943 roku, z utęsknieniem oczekiwana przez wszystkich, którym zima dała się we znaki. Nową surowością. Przecisnął się wychyliły swe białe kwiaty spod resztek sniegu. Zakwasy drobnym kwiecikiem krzewy tarniny powiało ciepłym powietrzem. Z dnia na dzień zyciodajne promienie słońca pobudzały do życia wszystko dookoła. Niestety ludzie nie mogli czuć się jak dawniej, kiedy głównym zmartwieniem o tej porze roku było wybieżenie ścian mieszkań i chałup oraz trzepanie dywanów. Wciąż trwała wojna. Późawieni ludzkich odruchów napędzający ciągle pragnię ofiar. Decydował o ludzkich losach. Wydawało się im, że są panami życia i śmierci.

Żydów nie było już w Żelowie, choć niektórzy ukrywali się jeszcze, a niektórym udało się uciec. Pozostały po nich jedynie sprzęty domowego użytku, ubrania i reszki mebli, które Niemcy wystawili na wyprzedaz publiczną. Kilka tysięcy mężczyzn, kobiet i dzieci zostało przez hitlerowców wywiezionych i pozbawionych życia w obozach koncentracyjnych, więzieniach i rozstrzelanych podczas masowych egzekucji. Jednak dla Niemców to nie ładnie gnieć, nie ojcowie, nie matki i nie dzieci. Porzby i się bałastu, niepotrzebnych nikomu przedmiotów, ale tym samym pozbawili się też rąk do pracy. Darnowych robotników do wykonywania najcięższych prac trzeba było jakoś zastąpić.



*Dom przydrożny – 1941 r. Z lewej widoczny dom
poż. skrzyżowania ulic Żeromskiego i Żeromskiego*



*Chłopek. Za nim dom
przydrożny. 1943 r.*

W październiku 1942 roku rozpoczęto w Żelowie budowę domu pracy przymusowej. Niemcy uznali, że tutaj produkcyjne centrum wokół fabryki Józefa Jerszaka doskonale się do tego nadaje. Wyjechała do wydzialekowej części przeznaczona dla mężczyzn i kobiet pracujących przy kopaniu rowów przeciwczołgowych, pracy w cegielni i w ogrodzie oraz prace związane z utrzymaniem porządku na terenie osady. Znajdowały się od strony Nowego Branka. Budynek fabryczny przy ulicy Żeromskiego 2 przeznaczony na filię sieradzkiego więzienia. W dawnych zakładach wykonywali prace na łaźni, produkując materiały włókiennicze dla wojska.

Wjeżdżając do więzienia poprzedzał budynek biura znajdujący się przy ulicy Żeromskiego 23. W budynku admin. strażnicy znajdowali się też pokoje przesłuchań i karcery. Na terenie zakładu, obok biura, stał dwukondygnacyjny „palacyk”. W dawnym domu Jerszaka zamieszkał dwóch hitlerowskich szlagerów i Holler. Jeden był odpowiedzialny za wyżywienie, drugi za robotników przymusowych i wykonywanie przez nich prace. Rękami polskich robotników Niemcy wybudowali siedem baraków mieszkalnych i wysoki na kilka metrów mur z trzema wieżami narzutowych strażnic i drewnianym ambonami postawionymi nad każdym wejściem i na narożnikach muru. Te doskonałe punkty obserwacyjne wyposażone były w karabiny maszynowe i w reflektory, które od zmroku do świtu oświetlały teren wokół ogrodzenia. Cegły na jego budowę zwożono z pobliskich cegielni – a prace nad budową murów nadzorował Wachtmann¹⁴ Pau. Rejnhart z Düsseldorfu.

Ogrodzonego terenu pilnowała uzbrojona w karabiny straż więzienia. Strażnicy wywodzący się z miejscowych Niemców – z żołnierze Wehrmachtu częściej wyznaczani byli do pilnowania porządku podczas prac na terenie Żelowa, między innymi do pilnowania robotników pracujących w ogrodzie warzywnym.

¹⁴ W. Wachtmann – 1941 r. w Żelowie.

jaki utworzono na lokalne potrzeby Niemców i dla więźniów w miejscu gdzie rok wcześniej stała szubienica. Od ulicy Kosciuszki ogród odgródzony był niewysoką, jednometrową podmurówką siatką. Z boku, przy katolickim kościele, był staw z którego czerpano wodę do podlewania roślin. Dalej ogród ciągnął się aż do ulicy Poznańskiej i za nią, obok elektrowni i rzeki, aż do łąk. W kierunku ulicy Wąskiej, sprządał z łąką Pejgów.



*Jan Kufel i zefirowe
Kalkendrich*

Milena: Żenek bardzo przeżył śmierć Franka. Hołesne wydalenie zmienić życie zakochanej dziewczyny. Zniknęły wszystkie marzenia i plany, jakie snuło dwoje młodych, kochających się ludzi. Żenek stracił najbliższego przyjaciela, kumpla z podwórka ze szkolnej ławy, nie jako mężczyzna, który w dodatku widział już śmierć z bliska, odrzucił się szybko. Nie mógł tylko patrzeć, kiedy siostra wciąż płacze po kątach. Wymyślił więc sposób na skierowanie jej uwagi w inną stronę.

Cześ - powiedział wchodząc do kuchni.

Spojrzała na niego zaczerwienionymi oczami. Widać było, że jeszcze niedawno płakała.

Już się dzisiaj kilka razy widzę smy - powiedziała zdziwiona.

Mam sprawę do ciebie. Proszę właściwie. Bo widzisz, przy dałabyś mi się pomóc. Sam nie dam rady, bo muszę pilnować piekarni i pieczywo wozić. Zresztą wiesz, że nie mam zbyt dużo czasu.

Patrzył na siostrę czekając na odpowiedź, ale kiedy jej nie otrzymał mówił dalej.

Widziałas tych robotników, co w warzywniaku grząbki robią. Sieja marchew, salsę i inne warzywa. Wyhodowane wychodzone i edwie na nogach się trzymają. Po prostu głodu chodzą. Nie wiadomo ci wcześniej, ale kiedy przechodziłem koło fabryki, tam gdzie ich trzymają, widziałem jak przywieźli dla nich całe auto mięsa, tylko... że to były odarte ze skóry psy.

Przerwał, bo siostra zakryła twarz rękami.

Ł zasem to ludzie sami podają im coś do jedzenia, bo widzą, że z nim kłucie - kontynuował po chwili swoją wypowiedź. Nawet ostatnio widziałem jak mała Ola Łuszczówna bułkami podawała, ale wtedy to Ciulas pozwolił. Myślę, że mi moglibyśmy im więcej pomóc.

Ale jak? Chcemy im dać chleb? Przecież ich pilnują.

Z każdej strony na raz to nie pilnują.

Właściwie moglibym spróbować - powiedziała nieco podniekształcona.

Żenek usiadł na wprost niej na krześle.

Ale nie sama. Trzeba by zorganizować kilka chłopaków i dziewczyn. Wtedy to tak, kilka osób będzie spacerować z jednej strony ogrodu, zwróci uwagę wartownika. Wtedy ktoś od drugiej strony może spokojnie przetrząsnąć im trochę chleba, czy bułki. Co dzieńnie zrobę k. Bu. bochenków więcej. Będę wam dostarczał. Co ty na to?

Kiedy zaczynamy" wstał z werwą z kożetki.

O! Właśnie To moja siostra uśmiechnął się i objął dziewczynę ramieniem.

Przez kilka następnych dni plan Zenka wykonywany był bez zarzutu. Więźniowie zorientowali się u co chodzi i pomagali, angażując uwagę wartowników. Sprawa była prosta i nie złego się nie działo. W końcu chłopcy, którzy brali udział w akcji dokarmiania więźniów popadli w rutynę i przestali mieć się na baczności.

Rzucaj, Maniek. Nikogo nie ma – powiedział do młodego Ornała Jurek Pruszek.

Chłopak podszedł blisko sutki okalającej warzywniak i już miał przerzucić owinięty w czystą szmatę chleb, kiedy zobaczył biegnącego w ich stronę żandarma – Teodora Bednarskiego.

Wachmann skierował w ich stronę kufy karabinu.

– Ręce do góry – krzyknął z daleka.

Choulu – wrzasnął Jurek.

Zaczęli uciekać w stronę ulicy Poznańskiej. Za nimi rozległy się strzały. Tym razem na szczęście tylko w powietrze.

Czarnomorcy

W całej i uropie trwała „wędrownka ludowa”. Wojna spowodowała, że ludzie zmieniali miejsce zamieszkania zmuszeni życiową koniecznością, lub przymusowo – wywożeni przez okupantów. Pierwsze wysiedlenia Żydów i Polaków miały miejsce już w 1914 roku. W miejsce dotychczasowych mieszkańców podbity tego kraju przesiedlano Niemców z terenów wschodnich: Besarabii, krajów Baltyckich i Rumunii. Po napadzie na ZSRR przesiedlenia nastąpiły się „Czarnomorcy” przyjeżdżali i osiedlali się w Żelowie i w pobliskich wioskach. Zajmowali domy i gospodarki. W kolejnych latach migracja była coraz większa.

Rodzina Baczmagów została wybronięna od przesiedlenia w głąb Rzeszy mimo to musieli opuścić swój dom i odstąpić go nowym lokatorom.

Przyszło pismo, że musimy się wyprowadzić – powiedział Bolesław Baczмага do żony

Pani Stanisława, aż usiadła z wrażenia

Święta Panienko! Co znów? Gdzie?

Do Rybaków. Do sąsiadów mamy się na karmienie

Nigdzie nie idę. To nasz dom.

Baczмага przytulił żonę

Przyjła i się nas wygonią. Już chyba lepiej, że nas tylko przekwaterują, nie wywożą. Starał się ją pocieszyć. Ty i tak lepszy los niż mieliśmy gdzieś po świecie się tułać. Pamiętaj, jak chcieli nas wysiedlić? Albo tych Żydów w Rybku w Żelowie pamiętasz. Tych, co wywozili ich wtedy w czerwcu z Żelowsk do go kościoła. Chyba nie chciałabyś się z nimi zamienić? Ludzie mówili, że trzy dni na chorze ich trzymali bez jedzenia, picia, bez możliwości skorzystania z wyłuchka. Ci co tam później sprzątali to – a zrewizuj co ci będę mówił, przecież wiesz. My żyjemy i to się liczy. A czy będziemy mieszkać tu, czy u sąsiada. Nie martw się. Przyjdzie czas, że Szwabcy sobie pójdą i wrócimy do naszego domu.

Teresa Szkudlarek wracała razem z córkami od rodziny z Bujen. Jak co tydzień mówiła ze sobą miękko, jakby, świeży, dopiero co wycisnięty na prawce twaróg. Przed wejściem do domu postanowiła podzielić się z sąsiadkami wiadomościami ze wsi.

Stefciu! Nie wiesz gdzie wyszła Marynia. Byłam u niej rano i nie mówiła, że gdzieś się wybiera. Teraz wracam ze wsi, a tu pozamykane na trzy spusty.

Oj, Teresko. Dobrze, że cię nie było. Przyszł przed południem i zabrali ich na wywózkę, ale najpierw mieli ich zawieźć

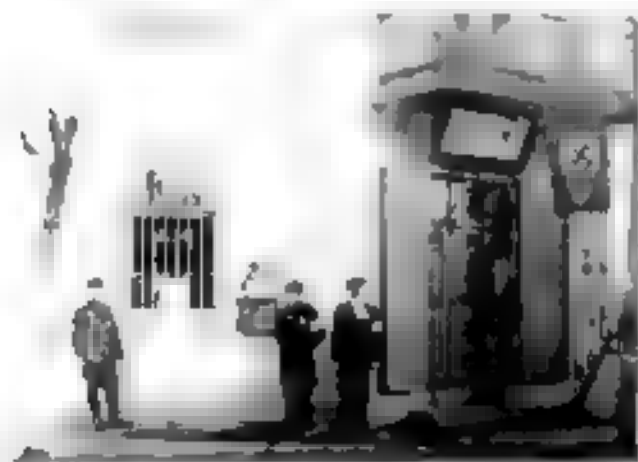
Szkudlarkowa wstała od stołu.

Muszę jeszcze dzisiaj paczkę wysłać do Kasz. Niby już mam przygotowaną, ale zanim sprawdzę na zandambieru, a później jeszcze na poczcie, trzeba swoje odstać. Jak zobaczysz Janeczkę, to jej powiedz, że może u nas zamieszkać i mnie raznieć będzie dziewczynkom. Zresztą sama jej to powiem. Mam nadzieję, że zajrząz czasem. W końcu będącnie mieszkali tylko kilka domów dale,

- Oczywiście, Terenka. Szczyć wam Boże
Hog zapłać. Wam też Szczyć Boże.

Pocztą

Zielonka pocztą znajdowała się w budynku przy skrzyżowaniu ulic Sienkiewicza. Wolności. Oprócz listów telegramów i możliwości skrzyśtowania z telekinu, raz w tygodniu, w jednym wyznaczonym dniu, można było wysłać paczkę do swoich najbliższych przebywających na robotach w głębi Rzeczy



Pocztą w Zielonce

Chętnych było wielu. Pani Teresa czekała w kolejce ponad dwie godziny. Po cenzurze zawartości przesyłki i odpowiednim jej zapieczętowaniu, urzędnik pocztowy, pan Kapusiński, przybijał pieczęć z napisem Se-lau. Była to nowa, używana przez Niemców nazwa Zielonka. Kiedy po załatwieniu wszystkich formalności wychodziła z budynku pocztą, podszedł do niej, młody przystojny chłopak. Bolek krawczyk. Ubrany był w mundur listonosza.



Bolesława Krawczyka
1943 r.

Pani Szkudlarkowa! Pani Szkudlarkowa! Mam list dla pan!
listonosz zatrzymał kobietę przed pocztą. Już w środku pan-
nią widziałem, ale nie chciałem tam dawać, bo chciałem z panią

porozmawiać a jak Naczelnik pan Frich Seidel usłyszy że na poczeku po polsku mówimy, to strasznie się wścieka. Można nawet oberwać

- Ist? Może od córki? - spojrzała z uśmiechem na chłopaka nie z drżącym sercem odebrała pismo i szybko je otworzyła.

Pobieżnie przeczytała i odetchnęła z ulgą.

Tak, to od mojej córki. Wszystko w porządku. Ona jest w Dreźnie. P Inne dzieci w domu jakiegoś fabrykanta - wyjaśniła nie dawno nie pisała - nachyliła się - pocałowała listonosza w policzek. Przepraszam - zwróciła się - To za dobre nowiny. Pierwsze od dawna. Mam się - miałam syna w twoim wieku.

Znałam Franka. Właśnie chciałem zrobić moje wyrazy współczucia dla pani.

Boję się zapisać. A ty od dawna jesteś listonoszem? Kiedyś w sklepie pracowałaś?

Od niedawna, proszę pani. Dopiero kilka miesięcy. Dostałam tę pracę, bo dobrze znam niemieck - Urodziłam się w Niemczech - O tu tam mieszkalem. Do szkoły tam chodziłam.

To dobra praca i ładnie listonosza szanują.

Tak pani Szkalunkowa. Nawet Niemcy inaczej mnie traktują, jak widzą tę opaskę - wskazał na białą opaskę na rękawie z napisem „Postbote”⁸⁹.

Dawniej to było gówniarz z Hitlerjugend⁹⁰ mógł na czekawieku napiąć i nie można mu było zrobić. Teraz jest inaczej. Dobrze mu się pracuje. Szczególnie dobre wieści lubię nosić, ale nie zawsze to możliwe. Jeszcze raz składam pani moje wyrazy współczucia i życzę pani wszystkiego dobrego. Do widzenia.

Boję zapisać. Dobry z ciebie chłopak - powiedziała listonoszowi odjeżdżającemu swoim nowym, służbowym rowerem.

⁸⁹ Postbote - z niemieckiego listonosz.

⁹⁰ Hitlerjugend - młodzież Hitlera - niemiecka organizacja młodzieżowa NSDAP.

Hitlerjugend

Deportacje ludności polskiej przebiegały zgodnie z niemieckimi planami. Osoby zdolne do pracy wywożono i zatrudniano na terenie Trzeciej Rzeszy. W Żelowie zostawali tylko ci, z którym okupanci mogli się porozumieć lub ci, z którymi robił interesy.

Pan Franciszek Pruszek znany był wszystkim jako człowiek energiczny i aktywny w życiu społecznym osady. Dzięki swojemu pochodzeniu z okolic Łeziska, a więc z terenów należących przed pierwszą wojną do zaboru pruskiego, doskonale znał język niemiecki. Z tego powodu często pośredniczył w załatwianiu spraw między niemieckimi władzami a mieszkańcami osady.

Skrótna oficyna państwa Prusaków stała przy ulicy księżego pomiędzy domem Libermanna a fabryką Lewiego. W podwórku znajdował się skład węgla i torfu, którym pan Franciszek zarządzał, a czas wolny wypełniały mu sprawy społeczne. Rzadko przebywał w domu. Nie miał czasu na odpoczynek. Najczęściej można go było spotkać na placu z opalem.

- Cześć, tatu. Możemy porozmawiać? - spytał Jurek Pruszek.
- Cześć. Przyszedłeś mi pomóc?

- Właśnie to chciałem, ale w innym sensie niż myślisz.
A w jakim, jeśli można wiedzieć?

- Bo ty tam pomagasz ludziom. Zawsze coś robisz. Masz załatwić. Dom Starców ma św. Anny i paczki więźniom wysyłacie - dodał.

- Nie ja jeden synu, nie ja jeden. Ksiądz Zych pomagał. Kuźmowski i inni.

- Wiem, ale ja też chciałbym coś zrobić dla ludzi.

- Przecież pomagasz. Wiem, że pomagacie więźniom, że chleb im dajecie.

Wiesz? zaczął się Jurek. Nie mówię, bo to nie takie go

Wiem. uśmiechnął się ojciec. I dumny jestem z ciebie. Ale przede wszystkim się uczy. Była wczoraj lekcja religii? Musiałem wyjść, a mama mówiła, że pani Kostecka nie przyszła?

Wczoraj, pan Maria była chora. Na dzisiaj zajęcia przekładane, ale byłem na Pułkowskiej na polskim.

Tak. Zmienił się pan Franciszek. pana Keppe to porządna Niemka. Dużo was tam teraz chodzi.

Na początku to była tylko Tereska Smolna. Ona tam teraz niedaleko mieszka, po Klipaku. A wszystkich nas jest sześć dziewczyn i czterech chłopaków. Tylko w takim różnym wieku. Że pani Keppe ma dużo pracy przy nas. Właśnie każdego z osobna prowadzi. Przez te dwa lata to dużo nas nauczyła. Ja jestem najstarszy, to właściwie mogłbym już nie chodzić, ale pani Janina nie raz mnie prosi, żebym uczył te młodsze dzieci.

No, widzisz. Mówisz, że nie nie robisz, a okazuje się, że nawet takie nauczanie prowadziisz. Ojciec poklepał go po plecach. Jurek uśmiechnął się, mile połączony komplementami ojca.

Wiele moich kolegów pomaga, a nawet dziewczęta pomagają. Chodzi to, że małe dzieci podstawę religii uczą. Adela Szekeć ska uczy katechizmu, a Renka Musznerówna, to już zanim za mną i kościół przygotowywała dzieci do Komunii, a teraz w domu też katechizmu uczy. Na Wolności, pod czwartym. I wazac trzeba, nie robimy, co możemy i chcielibyśmy więcej. W każdym bądź razie, jak by mnie tata potrzebował, to ja chętnie pomogę. Sprzedaj na ojca, jakby oczekiwał jakiegś propozycji, ale kiedy ten nie nie odpowiedział, zmienił temat. Teraz idę do Zenka Pejga, bo się umówiliśmy.

No, he. Tylko ubierz się ciepło. Wiosenne powietrze jest rduu we



Jurek Musznerówna ze swoimi uczennikami

Jurek poszedł prosto do piekarni Pejgów. Przechodząc przez Rynek spotkał siedzącego na ławce Fryka Szuka¹⁰, dawnego kolegę ze szkoły.

Cześć. Nie za bardzo się wytrzymał? spytał z uśmiechem, podchodząc do chłopaka ubranego w mundur i telerjenera.

Fryk nie odezwał się. Wstał i sprzątał Jurkowi prosto w oczy. Naprawdę ceka i stracił mu nakrycie głowy, a zaraz po tym uderzył go w policzek.

Jeszcze się nie nauczyłeś zdejmować czapki, jak z nami rozmawiasz? wycedził przez zęby.

Jurek chwycił się za twarz.

No, co ty! Przecież tyle lat się znamy.

¹⁰ Fryk Szuka - nazwisko wyдуманne

Może kiedyś byśmy na ty, ale od dzisiaj masz mi mówić „pan”.

Młody nazista odwrócił się i odszedł.



Jurek Świątek, morderca przy ul. Wileńskiej w Żelazku.

Żelazski oddział Hitlerjugend, czyli niemieckiej organizacji młodzieżowej NSDAP, miał swoją siedzibę przy Żeromskiego 19 w Szkole nr 1. Celową, obowiązującą tam zasadą była wierność Hitlerowi i Przeciei Rzeczy. Je członkowie promowali kult zdrowej rasy germańskiej, dyscyplinę. Chłopców przygotowywano do roli żołnierzy gotowych oddać życie za Führera. Dzieńczęcia stały na straży choć domowych, rodziny i narodu.

Niemiecka młodzież pracowała w gospodarstwach innych Niemców – czyli się tam obowiązkowo, pracowitości i sumiennoci. W szkole uczyli się strategii, a korzystając z sal, które zajmowała działająca w „jedynce” szkoła łączności, uczyli się alfabetu Morse’a. Jednak najbardziej kładł nacisk na ćwiczenia sprawności fizycznej. Na boisku przy Szkole nr 1 ćwiczyli musztrę i gry wojenne.

W tym celu wybudowali tor przeszkód, a przy stajni od strony Nowego Rynku wielki drewniany schron przysypany ziemią, który z daleka wyglądał jak wielki kopiec. W zespołowej grze w granej należało wykazać się siłą, sprytem i umiejętnością wspinania. Młodzi chłopcy w brutalny sposób walczyli z dobiegającą flag przeciwnika, broniąc jednocześnie dostępu do własnego sztandaru.

Kiedy Jurek Pruszek spotkał się z Zenkiem, opowiedział o nieprzyjemnej przygodzie, jaka spotkała go w Rynku.

Jurek zawsze był taki, jakby wszystkie rozumy zjadł – kułacem popił – powiedział Zenek.

Nie przejmij się grotem. Kiedyś przytrzymaj mu nosa – będzie skamlał jak pies, żebyś tylko odczwał się do niego – nie odawa bohatera, ani nie zadawaj się z nim, bo widzisz wydałoby się kolegą, a – machnij ręką – Czasem nie patrzcie co powie, i wszystkich nas wyda.

Przecież nikomu nie nie mówiłem – obruszył się Jurek.

I dobrze. Ja już w to nauczyłem się, że lepiej milczeć, niż gadać. Bezpieczniej tak jest. Rozumiesz?

Rozumiem, ale ty też zrozum, że co ci mówię, że chciałbym ci coś więcej powiedzieć, ale tylko chciał powiedzieć. Miałem tu dla ciebie jakieś zadanie.

Na razie siedzimy tylko, żadnych dodatkowych zadań. Nie wystarczy ci ta strzelanina? A tak nasłanym razem Wachmannem strzelać w powietrze? Maszmy bardziej uważać. Nie graj bohatersko, bo może ci to wyjść.

Jakby ci mówić. Byłeś na wojnie, walczyłeś o Polskę, ty już jesteś bohaterem.

Nie jestem i nigdy nim nie byłem. Bohaterami są ci, którzy poległ na polach bitew – jak Mietek Kapusczyński pod Międzyrzem, Zbyszek Gąsiorowski pod Narwkiem, wielu innych. To ci, których rozstrzelano podczas masowych egzekucji i w więzieniach, i ci, których wystrzelano w obozach koncentracyjnych, jak ksiądz Ciolekiewicz, czy kierownik naszej szkoły – pan Henryk.

Wyłątkiewicz, który też w Oświęcimiu zginął. I oczywiście setki tysięcy Żydów, Polaków i przedstawicieli innych Narodów, zgładzonych w Chełmnie i w innych obozach. Zagazowanych, rozstrzelanych i powieszonych. Tak. To są prawdziwi bohaterowie tych smutnych czasów i nie spiesz się, żeby zostać jednym z nich. Dobrze ci radzę. A teraz idź do domu. Przyjdź w przyszłym tygodniu. Zobaczymy, co dalej. Ja mam dużo pracy. Swoją robotę też muszę zrobić. Nie martw się. Nie zostawimy tak tego. Przyjdzie czas na rewanz. Zobaczysz. Wspomnisz moje słowa.

Sanatorium na „Patykach”

W biurach Arbeitsamtu, na rogu Północnej i Kilińskiego, panował spory ruch. Młodzi ludzie z całej gminy zgłaszali się w związku z wezwaniem do pracy i na obowiązkowe szczepienia profilaktyczne. Młoda, zgrabna dziewczyna – Maria Figurowna wyszła przed budynek i z uwagą czytała otrzymane przed chwilą skierowanie. W tej chwili podeszła do niej szczupła nastolatka. Marysia spojrzała na nią i uśmiechnęła się.

„Cześć Józka! Widzę, że ty też dostałeś na szczepienie. Mogłam się domyślić, że cię tu spotkam. W końcu w jednym wieku jesteśmy.”

„Cześć! Dawno się nie widzieliśmy! (o u ciebie)” – odpowiedziała koleżanka Józka Szubka.

Najpierw ty opowiadaj – odpowiedziała Marysia, po czym wzięta oparty o ścianę rower, na którym przyjechała i podeszła do przyjaciółki ze szkolne, ławy.

Chodźmy. Po drodze porozmawiamy – dodała.

„A no – w szkole u kierownika Freunda pracuję – zaczęła Józka – wskazała głową w kierunku stojącego po drugiej stronie skrzyżowania budynku „jedynki” – aie dzisiaj na badania mam iść i na szczepienie.”

„Ja też na badania. A nakaz do pracy dostałam do magazynu i munduramu wojskowym. Tu niedaleko w dawnym domu Libermana.”

„Szły w kierunku Rynku.”

„Ile szczepienia to tam gdzie przedtem był Arbeitsamt?” – spytała Józka.

„Tak. Tam. A jak ci się pracuje? Opowiadaj.”

„No co mam mówić. Nie jest tak źle. W mieszkaniach tylko robię, a całą szkołę mna dziewczyna sprząta. Ja piórę, gotuję i całym domem się zajmuję. No i ogrodnictwo do moich obowiązków należy. Na wiosnę to skopałam całe pole tam gdzie aż do emmentarza.”

„Taki szmat ziemi?” – spytała z niedowierzaniem Maria. „Przecież ty taka szczupłutka jesteś. Takie chucherkę – uśmiechnęła się. – Daj ci choć oo za to?”

„Jak czasem dobry humor mają i dobrze coś zrobię. To dadzą na bułkę.”

Marysia pokręcała głową.

„Ciekawe, jak to u mnie będzie? Ale najhardziej się martwię, że mamie nie pomogę. Ona ostatnio trochę choruje, a ojca na roboty wzięli.”

„Jakoś sobie poradzisz. Zawsze obrotna byłeś – uśmiechnęła się.”

„A wiesz? Wczoraj w kinie byłam – Józka zmieniła temat rozmowy.”

„Niemożliwe? W naszym kinie? Przecież Polaków nie wpuszczają.”

„Z sąsiadką Szubkową byłam. Pokazała jakiś swój niemiecki papier i pierwsza weszła, a ja tuż za nią.”

Kiedy przechodziły przez skrzyżowanie Dzielnej z Kilińskiego, Marysia wskazała na dom stojący po lewej stronie.

„A pamiętasz, jak tu na weselu byliśmy? Wszystkich z ulicy co akurat szli, zaprosili na podwórze – powiedziała, wskazując na dom Libermana.”

Śluby to mieli piękne te Żydy. Najpierw pod tym haldachimem młodzi stali. Później nogą szklankę tłukli. A śpiewali i tańczyli, i grali pięknie. Pochodnie gasili; cały czas. Mazel tov! Mazel tov! Haj, waj! Haj, waj! Nawet po kójne¹ każdemu dali.

Tak rozmawiając dziewczęta weszły do budynku przychodni. Nakazano im przebrać się w papierową, długą kieszulę sięgającą, aż do kostek i po badaniu lekarskim stanąć w kolejce do gabinetu pielęgniarstwa, na zastrzyk.

Jeszcze jakieś świństwo nam wstrzykną – powiedziała Maria do siostry stojącej przed nią koleżanki. – Ja nie idę.

Wyszły z kolejki i niezauważona poszła z powrotem do szatni. Szybko wyszła z budynku. Wsiedła na rower i nie oglądając się za siebie popędziła ulicą Śienkiewicza, a następnie Pułkowską w kierunku Pułtków. Po drodze natknęła się na idących chudym Niemców.

Pułtzie jak pruje – powiedział Dalke do kolegów.

Musisz jej wlepić mandat za szybką jazdę – zażartowali.

Nagle dziewczyna zahamowała nagle, kiedy przebiegający drogę koł o mały włos nie wpadł pod koło jej roweru, jednak nie zatrzymała się.

Ale miał szczęście. Ledwie z życiem uszedł. Za to też jej się mandat należy – zażartował jeden.

Koło też – dodał, śmiejąc się drugi.

Dalke obruszył się na docinki kolegów. Podszedł do skraju szosy i czekał na dziewczynę.

– Hej! Stój! Zatrzymaj się!

Dziewczyna spojrzała na Volksdeutscha, a widząc, że to znany jej ojca nie zatrzymała się tylko krzyknęła.

Nie mam czasu, panie Dalke. Spieszę się.

Gdzie masz numerkę²? – krzyknął za nią, kiedy go minęła.

¹ kupa – kieliszek wino w srebrnej

² numerki – w czasie II wojny niemieckiej kieszulki posiadał każdy ułamek numer identyfikacyjny. Jakże numerki.

Przeczepił się do pierwszej rzeczy, która wpadła mu do głowy. Chciał „wysc z twarzy” przed kolegami widząc, że go zignorowała. Marysia odwróciła głowę, uniosła ręką zwisającą wokół szedłka spódnice i nie zdając sobie sprawy z dwuznaczności swojej odpowiedzi, krzyknęła:

Pod spódnica!

Mężczyźni zaczęli się głośnie śmiać.

Szatan nie dziewczyna – dodał Dalke, kręcąc głowę.

Już kilka miesięcy wcześniej Niemcy upatrzyli sobie Żelów, jako idealne miejsce na wypoczynek i rekonwalescencję dla żołnierzy, którzy po leczeniu szpitalnym mieli „dojść do zdrowia” przed powrotem na front. Na końcu Pułkowskiej, na skraju lasu, urządzili sanatorium. Pomiedzy drzewami, przy starannie wysypanych ziwnem alejkach, ustawiono 14 baraków mieszkalnych. Po środku był plac sportowy / boisko siatkowe, cztery baraki szpitalne i baraki gospodarcze. Dalej strzelnica – plac manewrowy na którym żołnierze ćwiczyli także maszerę.

Mama rzuciła rower koło drewnianej wiaty przeznaczonej na świetlicę. Już tu bywała i wiedziała dokładnie, gdzie może znaleźć koleżankę. Przyjechała do Bronki, którą traktowała, jak starszą siostrę. Młoda, wysoka dziewczyna o ciwnych oczach, brązowych włosach pracowała tu z przydziału. Sprzątała baraki, zmywała naczytnia na zmywaku, pomagała rozdawać posiłki.

Cześć Bronka – powiedziała, widząc ją zamiatającą podłogę.

Cześć. Co się stało? – spytała przerażona dziewczyna, patrząc na spoczoną, czerwioną twarz Marii.

Byłam w Arbeitsamtzie. Dali mi przydział do magazynu mundurowego.

Gdzie?

Na Kilińskiego. W domu Lewiego.

Bronka odetchnęła z ulgą.

Już się wystraszyłam, że cię wywiozą. Masz szczęście, że robota na miejscu i to nie taka ciężka.

Na tak tylko

Co? Wolalabyś jeszcze w domu posiedzieć? Masz swoje lata, ciesz się że przy mamie zostajesz

No, ale wiesz. Ojcu niedawno wywiezli

No, właśnie dlatego – przerwała jej Bronka. Będziesz na miejscu, to matce w domu pomożesz. Wdłużysz? Ja sobie nie krzywdzę. Zrobię co swoje i idę do domu. Przerwy mam jedzenie na miejscu. Zaraz tu skończę i możemy się przejść. Dzisiaj jaka ładna pogoda. Mam godzinkę do obiadu, a teraz pusto, bo się ćwiczą. Część w jaka poszła na strzelnicę i ci zarzuciła manewry mają. Jedni udają, że atakują, inni że się bronią. Jedną grupę to aż spod Rochówka nacierają na tych, co w ukopach tu siedzą, a druga spod Bujen kładących na nich idzie

Dziewieczyna odstawia miotłę i zdejma fartuch.

Nikt ci nie powiedział, że tak sobie chodzisz? – spytała Maria.

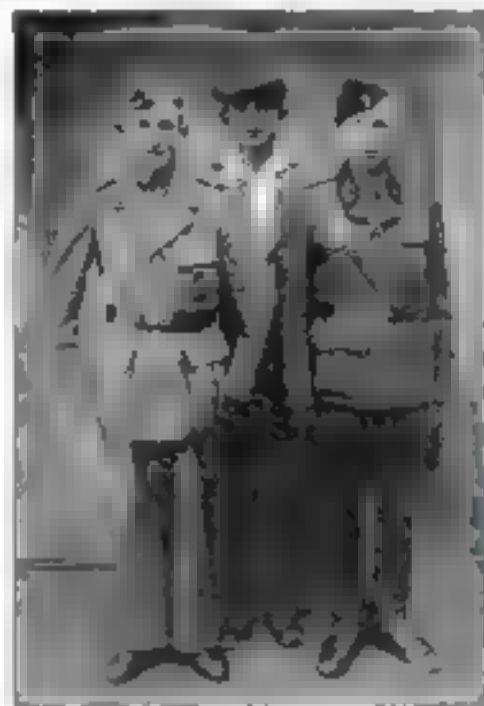
Nie. Bychym tylko swoich obowiązków nie zapomniała. Nie są tu dla mnie źli. Choć tak, jak wszędzie. Czasem trafi się taki, co wywie od najgorszych, ale jakbym ukam miała się przejmować. Oficerowie im nie pozwalają. Rygor utrzymują. W zeszłym tygodniu chłop z Graba słowa, co tu mleko przewozi, opowiadał, że trzech stąd poszło do nich do wsi. Pewno przygód jakich szukał. Dwóch wszedł do chaty i jeszcze wolali. W izbie jeden z nich zobaczył krótką z dzieckiem i uwalis się do niej na tego dziecko. Matka zaczęła krzyżeć, że jej dziecko ukłusł, a on tylko się śmiał. Na to wszedł z dworu ten trzeci. Pewnie był starszy stopniem, bo jak ryknął im smutego, że on od razu się zerwał i na hałasność stanął. Wszystko od człowieka zależy, a dobrzy są Niemcy i Żli i protestanci są a nich i katolicy też. Ze dwudziestu, co ich tu przywzją na strzelnicę, to mają zakwaterowanie w Zielowie, na Kuńskiego 4 naprzeciw Czerwskich. Ustano jak była mowa to oni chcą iść na nabożeństwo mówią po francusku po niemiecku, ale to katolicy z Alzacji i Lotaryngi. Przekłóten ich nie puścili, więc tam sobie potwierza i wszystkie okna od ulicy tak udział we rękę wzię

Kobiety szły brzegiem lasu i rozmawiały. Nagle usłyszały krzyki. Zaczynały się i zza drzewa obserwowały co się dzieje. W pobliżu grupa więźniów i wyznaczeni przez Biuro Pracy Polacy kopali długie, ciągnący się aż po widnokrąg, rów przeciwnożłogowy. W głębokim na kilka metrów wykopie pracowali mężczyźni i całkiem młodzi chłopcy. Część z nich kopala, inni kopami wysypywali i mieszając z drewnem ubijali piasek, wrzucali z ich stron zawary nasyp. Obok na ziemi, kręcił człowiek. Nad nim w rozłomku stał gestapowiec i bil go łęgą po plecach.

Ty, polska świno! Robić ci się nie chce.

Mężczyzna osłaniał głowę i wołał o pomoc i zadowanie. Złoty szary Niemiec w końcu przestał bić i odrzucił kij.

Wszystcy obserwowali, jak będącicie symulować robotę krzewców hienowłoc do pozostałych, nadal pracujących ludzi.



Volksdeutsche z Zielowa. Od lewej, żołnierz Luftwaffe obrony przeciwlotniczej, pośrodku cywil z prawej kurtka NSKK. Narodowo Socjalistyczny Korpus Szkolenia Młodziaków

POMYŁKA

Niemiecki żołnierz cywil. Z lewej członek Hafften SS w Zielowie. Obok żołnierz obrony przeciwlotniczej.

W tej chwili usłyszeli nadjeżdżający samochód. Zatrzymał się w pobliżu – wyskoczyło z niego kilkunastu żołnierzy. Szybko obstawili teren wokół robotników. Jeden z Niemców doprzął Bronkę i Marysię, ukrywając się za drzewami.

Raus! – krzyknął w ich stronę – Arbeit! Schnell!

Już po nas – powiedział Bronka do pobladłej ze strachu Marysi.

Panie oficerze. My tu niedaleko pracujemy. W sanatorium. Musimy już wrócić – wyjaśniała.

Sunda, Sunda – powiedział po polsku Niemiec, jakby zaganił gest, nie zważając na tłumaczenia dziewczyn, przyprowadził je bliżej grupy.

Podał gestapowowi jakieś pismo.

Wychodzić – wrzasnął Niemiec do robotników pracujących w rowie. – W szeregu zbiórka!

Bronkę i Marysię ustawiono razem z innymi, a żandarm rozpoczął odliczanie.

Ein! Zwei! Drei! – weg!

Wszyscy z numerem trzy dali krok do tyłu.

Wstadać na ciężarówkę. Schnell! Schnell! Reszta rozepię się.

Dziewczyny miały szczęście stanęły w szeregu, jako pierwsza druga. Po wyjaśnieniach pozwolono im odejść.

Ucieczka

We wrześniu 1941 roku Niemcy zajęli drugie duże zakłady Fabrykę Wyrobów Włókienniczych Karola Rappachta w Herbertowie. Tak, jak w Żelazowie, hale produkcyjne zostały otoczone wysokim, ceglany murem. Już po miesiącu od jej przejęcia trafili do niej robotnicy przeszkoleni w zakładach Carla Zeissa

Regimijnym przywódcą

w Jenie. Po zamontowaniu odpowiednich maszyn ponad dziesięciu ludzi pracowało przy produkcji śrub napędowych i przyrządów optycznych do niemieckich łodzi podwodnych.



Fabryka Karola Rappachta w Herbertowie

W obu żelazowskich obozach panowały złe warunki. Więźniowie pracowali po kilkanaście godzin na dobę w zimnie i przy mekostałecznym wyżywieniu. Ciężkie warunki powodowały, że podejmowano próby ucieczek.

W aforcie Jersaka po codziennym, wieczornym apelu więźniowie odali się na zasłużony odpoczynek. Zbiła się cisza nocna. Jednak nie wszyscy zamierzali spać tej nocy. Na dwóch sąsiadujących ze sobą przyczach toczyła się pomiędzy dwoma więźniami cicha rozmowa.

Dziś, albo nigdy – powiedział mężczyzna w średnim wieku. – Pogoda jest w sam raz.

A jak nas złapią? – spytał młodszy od niego, wysoki człowiek. owinięty przykrokiem dla niego kocem, niczym kokonem.

Najwyżej do karceru trafimy. Raz już brałem udział w ucieczce. W Sieradzu. Ale nas złapali i trafiliśmy na dwa tygodnie do aresztu. Lekko nie było. Jednak czego to człowiek nie wyczyna. Pob i mnie ale się wyzwalam. Nie będę to sędział. Woic zdechną uciekając, niż tu. Decyduj się Adam.

Mężczyzna wahał się jeszcze

A jak?

– Jak i jak? – Idziesz ze mną, czy nie?

– Idę. Ale się boję

– Ty myślisz, że ja to się nie boję. Głupi by tylko się nie bał, ale pogoda nam sprzyja. Porano i szaro. Deszcz ze śniegiem pada. Straznicy wciąg w ciepłe posiedzico, niż moknąć. Skoczymy po drabinie na dach, a później zjedziemy z drugiej strony i dalej wchodzimy muru, aż do cmentarza. Tam znajdziemy sobie jakąś kryjówkę i przeżyjemy cały dzień. Po 24 godzinach będą myśleli, że już im zwaśnismy, wtedy dopiero pojedziemy dalej przez las. Później się zobaczymy. Bychśmy tylko stąd się wydostali.

To zaraz idziemy – pytał ciągle wystraszony chłopak

Odczekamy parę godzin. Przespij się. Ohudzę cię

Adam przytaknął głową i nakrył się kocem jeszcze bardziej

Po chwili jednak odsłonił twarz i powiedział:

– Józef. Obiecuj mi, że się uda. Powiedz. Po prostu takie zdanie powiedz, że – wszystko będzie dobrze

Józef spojrzął na chłopca, który przypominał mu dawno nie widzianego syna. Dotknął ręką jego ramienia, spojrzał głęboko w oczy, usmiechnął się i powiedział powoli i wyraźnie:

Wszystko będzie dobrze. Obiecuję

Po kilku godzinach Adam lekko potrząsnął śpiącym sąsiadem.

– Już czas. Idziemy. Tylko po cichu.

Mężczyźni niepostrzeżenie wynieśli się z baraku. Rozjeżdżali się ostrożnie dokoła. Było cicho. Słychać było tylko kapnięcie

z dachu deszczówkę i odgłosy poruszanego przez wiatr kawałka naderwanej papy. Światło reflektora z najbliższej wieży skierowane było w drugą stronę. Wszli więc i ukryli. dobiegli do przynocowanej do ściany budynku drabinki. Chylikiem przedostali się na dach i na chwilę przylgnęli do niego

Tam zeskoczymy – szepnął Józef, wskazując miejsce, do którego zamierzali się przedostać. Później kolo muru. Pobiegne pierwszy. Cały czas trzymaj się mnie. Nie zostawaj w tyle.

Nie zostanę – wykrzyknął z siebie Adam, dzwoniąc zębami ze strachu i z zimna

Pobiegł wzdłuż ogrodzenia. Kiedy przebiegł i ponad sto metrów serce Józefa zaczęło bić radośnie. Na twarzy pojawił się uśmiech. Jeszcze tylko kawałek. Wdrapią się na komórkę i jeden skok i będą wolni. Nagle Adam potknął się i przewrócił. Dopiero po kilkunastu metrach Józef zauważył, że biegnie sam. Zatrzymał się, przykucał i wypatrywał kolegi. Nagle dźwięk leżącego chłopaka zrobił się widno. Sprawili to światła reflektora, które nagle wokół rozbiły się, odbierając nadzieję wolności.

– Nie wstawaj. Leż – krzyknął do niego wściekłym.

Jednak chłopak zerwał się – zaczął biec. Wtedy padły strzały z karabinu maszynowego. Adam upadł na ziemię. Józef zawahał się „Wrócić czy uciekać?” – kotłowało mu się w głowie. Nagle usłyszał, że ktoś biegnie w ich stronę. Szybko ukrył się za wiatą i patrzył. Poznał wartownika. To Bednarski – przemknęło mu przez myśl. Tymczasem Adam podnosił się i utykając na jedną nogę próbował uciekać

– Stój, bo będę strzelał! – krzyknął Wachmann i oddał strzał w kierunku uciekiniera

Mężczyzna upadł ponownie. Tym razem już nie wstał. Bednarski stanął nad swoją ofiarą. Dotknął chłopca końcem karabinu, kopnął go lekko i odszedł. Józef ukrył twarz w dłoniach i żył napięty mu do oczu, jednak po chwili odwrócił się, wdrapał się na komórkę, przeskoczył mur i zniknął w ciemnościach listopadowej nocy

Koniec już blisko

Z początkiem sierpnia 1944 roku rozeszły się wieści o walczącej Warszawie. Ten kolejny zryw Narodu Polskiego przynosił nadzieję i wiarę w bliskie zwycięstwo nad znieprawdzonego wrogiem na wyzwolenie ojczyzny. Wschodnią część Polski była już wolna. Armia Czerwona razem z Wojskiem Polskim stała na linii Wisły. Ludzie wita i wyzwolicieli kwiatami i uśmiechem. Powoli rozpoczynała się odbudowa zrujnowanych ziem, spalonych domów, fabryk, szkół. Pracownicy starali się na nowo ukazać sobie życie w nowej, innej niż kilka lat wcześniej. Oczywiście. Jednak wielu ludzi i znaczne obszary ziem wciąż czekały na upragnioną, wyłaskawioną wolność.

W niedzielne popołudnie Zenek z Mileną przyszli do mieszkania państwa Szkuclarków w odwiedziny.

Myslałam, że się na mnie pogniwiałas? - powiedziała gospodyni, witając się dziewczyną. Zenek to chociaż zarządził, a ciebie od pogrzebu Franka nie widziałam.

Pani Terenu! Ja się na panią pogniwiałam? Ja nigdy - ja po prostu. Było mi ciężko. Milena miała oczy pełne łez.

Nie płacz dziecko - przytul ją do pierś. Widać, że już tak musiało być.

Kochałam go - powiedziała dziewczyna.

Obie go kochałyśmy. Był dobrym synem i dobrym człowiekiem.

Szły dłuższą chwilę nie mówiąc. Pani Teresa głaskała ją czule po głowie. Tuliła w ramionach, jak własną córkę. Zenek przyglądał się z boku pociągając nosem. Też przeżywał stratę przyjaciela.

No, nie płacz już, nie płacz. Siadajcie, proszę. Zrobię wam herbaty. Zenek, zawołaj dziewczynki z dworu i siadajcie do stołu.

Przyszliśmy spytać, co u pani słychać? Czy może coś potrzeba? - zapytała Milena.

Jakos sobie radzimy, ale dziękuję. Kryśka i Róża są już duże. Mam z nich wrócić. Pomagają mi w domu i w łaźni.

Co chciałaś, mama? - spytały dziewczynki, wychodząc razem z Zenkiem do domu.

Gości mamy. I myćcie ręce i chodźcie do nas. W odwiedziny przyszli. Dziewczęta podbiegły do Mileny i przywitały się z nią radośnie.

Dawno u nas nie byłas - powiedziała Kryśka.

Dlaczego tak rzadko zaglądałaś? - dodała jej siostra. Nie mamy z kim pogadać, odkąd Lucynka się wyprowadziła.

Ochcuję, że teraz częściej będę przychodziła - uśmiechnęła się Milena. A przyszły jakies listy? Od męża albo od Kasi? Zwróciła się z tymi pytaniami do gospodyni.

Od męża niestety ciągle nie mam żadnych wiadomości. Już dwa lata minęły, jak go zabrali, ale siostra dostała list od swoich synów. Drugi po tak długim czasie. Oni to dopiero przeszli. Najpierw to wiecie byli u Sowietów, później w Ziemi Świętej, gdzie Jerus stał, a później do Włoch ich zabrali, i wleczli o jakimś klasztorze na wysokiej górze. Bardzo długo nie mogli go znaleźć i dużo polskich żołnierzy zginęło. Oba były lekko ranni i ważne, że teraz już wyszli ze szpitala. Wszystkich kazali pozdrowić i oczekiwać. Franka też dostała i zaraz posmutniała. Nie wiedzieli, że. Ale już im napisałam. Może szybciej list dojdzie do nich, bo od nich do Polski to prawie trzy miesiące szedł.

- No, a Kasia? Co u Kasi? - dopytywała się Milena.

Kasia to nareszcie taki list napisała, że jakbym tam była, wazysko wami.

Mamo, przeczytaj jeszcze raz na głos - poprosiły niema równocześnie dziewczynki.

Tak, pani Terenu. Proszę nam przeczytać. Milena poweselała, kiedy usłyszała o liście od przyjaciółki. Spojrzała na kobietę z ulką w oku.

Szkuclarkowa podeszła do kredensu, wyjęła ostatni list od córki i siadła obok nich przy stole i zaczęła czytać.

Drezno 15 lipca 1944 r.

W imię Ojca i Syna. Witam Was moim kochanym serduszkiem
Ciekawą paczkę dostałam. Dziękuję. Wszystko bardzo mi się przy-
dało. Dziękuję też za zdjęcie. Dobrze że chociaż tak mogę Was
zobaczyć. Przesyłam też moje dla Was.

Pani Teresę przerwała czytanie i wyjęła z koperty zdjęcie Kasi.
Pokazała gościom.

Ladnie wyszła – powieziała Milena, przyglądając się foto-
grafii z bliska.

Pokaz. Zenek namyślił się, żeby także ją zobaczyć.

A co? Ładna? – spytała z zaciętym uśmiechem Krysta.

I co, Zenek? Ciągłe ci się nasza Kasia podoba? – dodała.

Zenek poczerwieniał, a pani Teresa poknęła córkę ręką po
głowie, jakby chcąc ją zganić za to podchwytliwe pytanie.

No jasne że podoba – pewnie odpowiadał chłopak. Zawsze
mi się podobała, ale nie tak bardzo, jak ty – zazębiał.

Tym razem Krysta okryła się panem.

Widzisz – powiedziała, smucąc się jej mama – nie zaczynaj.

– Czyta, dalej, mamo – poprosiła Róża.

Jak już pisałam we wcześniejszych listach, u mnie nie takiego
się nie dzieje. Opiekuję się Verą i Renatę. Traktuję mnie jak star-
szą siostrę. Jestem z nimi cały dzień. Daję im jeść i śpić
a przed spaniem, zawsze uprzedz młodszą siostrę, jak wstąpić.
„Jestem matką. Moje serduszko jest czyste. Ma w nim miłość
mieszkać tylko Pan Jezus. Tata i Mama”. Potem mówię im do
brania i idę do pokoju pani. Jej muszę powiedzieć: „Dobranoc
Wielmożna Pani”.

Jest mi tu dobrze. Nie tak jak było na początku w łagrze¹⁾
w tej fabryce chemicznej. Mam czarną sukienkę i białe fartuszek.

Łobienie jest bardzo dobre. Jak pisałam, co przeszły inne
Polki, to ci mi wystyd, że mnie tak tu dobrze.

Niedawno przyjechały tu do pracy trzy Polki. Dwie są z War-
szawy z łopatką, a jedną wyobrażasz sobie od nas spod Żelazna
Helena Kowalska z Heleną. To, co one przeszły. Straszne
cierzą opowiadają. Te z Warszawy to nawet taką przesadę wło-
żyły.

Dokola były w niemieckim mieście, a u nas zawsze praca
głód, bo nasze łagry są tutaj w Dreźnie i oznaczone literą „P”.
Rozpacz opornia człowieka tutaj, gdyż nikt nie może na szostą
niedzielę „Fraulein” przychodzić, światło zapala wolą „Aufstehen”²⁾
i zjechać wstac. Lecz bez ochoty wstąpić wstajemy i do roboty
wychodzimy się. Po wielkim śniadaniu się zjemy i zawsze zdy-
wamy trochę na czas. Na obiad dostajemy trochę polewni i wszystkie
dodatki upakują nam. My nie możemy, my wszystko mamy, kie-
dyś w przychodni oddamy nam...

A Helena to miała jeszcze gorzej. Ona jest młodszą ode mnie
nie już się u zyciu wytrzymała. Wypierze z całą rodziną wywiezli
ją do pracy jako (nie)pracownicę do magazynu Schweigen. Tam
początkowo + wiktory. Za jedną ciemną wódkę dostawała
w miarę, a jak jej się uzbierało przez dwa dni pięć razy – to nie
dostawała kolacji. Zimą mieli ich przewieźć dalej do Rzeszy
i dawać wszystkim robotnicę. Polski Żandarm taki żołdek jak
u nas, po kolei podchodził do każdej dziewczyny i uderzał ją
w brzuch kłobką karabinu. Sprawdzał czy która nie jest w ciąży.
A jeśli by była to miało spowodować, że już by dziecko straciła.
Później wywieźli ją do pracy u Bauera, koło Dachauna. Tam za-
burowała i miała operację na brzuchu (pewnie od tego uderzenia
takiego gazu dostała). Po wyjściu ze szpitala wróciła przed do

¹⁾ „Fraulein” – niemiecka gospodarka

²⁾ „Aufstehen” – z niemieckiego wstawać

Fraulein – PANNA
Bauer – GOSPODARZ

¹⁾ „Lager” – niemiecka obóz dla jeńców. Lager – obóz po niemiecku

majątku i zabłądziła, bo była taka mgła, że na krok na nie widziała. Nagle poklesła do jakiegos ogrodu i szła wzdłuż niego, myśląc, że trafi do jakiegoś domu. Trafiła prostu na stojącego przy jakiejś furcie Wachmanna. Powiedziała mu gdzieś gdzie (bo bardzo dobrze umie po niemiecku) i że wyszła ze szpitala, i że zabłądziła i nie ma już sił iść dalej. On zaprowadził ją do jakiegoś baraku do innych kobiet i tam się przespała, a rano ukazała się, że jest w obozie koncentracyjnym. Wystraszyła się, ale poklesła do wartownika i znowu wszystko opowiedziała innemu, bo tamtego już nie było. Wtedy ten drugi zaprowadził ją do oficera i znowu opowiadała, ale pokazała też swoje papiery i że pracuje tam i tam, i że chce dalej tam pracować, że musi wrócić, bo to jej obowiązek. Szkap to ubezpieił, wypisał jej przepustkę i kazał wypuścić. Taką miała przygodę, ale strachu się napadła.

Kończę już. Czekać z ufaniem, że ta wojna się skończy i wrócę do Was moi kochani. Łatwiej Was wszystkich, a szczególnie nie Ciebie Mamo i moje kochane siostrzyczki. Pamiętajcie, żebyście były przecie i pomagały mamie. Wierzę, że po wojnie łatwo się odnajdzie zabłądziła Mamo. Przetrwacie moje kochanki i panstwa Wejmanów, i Ułanek, i Milenę i Zenka, oczywiście (powiedzcie mi, że niedługo znowu do niego napadną). Odpiszcie szybko. Całuję Was gorąco.

Kasia

Przez dłuższą chwilę w kuchni panowała cicha. Każdy ze słuchaczy jeszcze raz rozpamiętywał dopiero co przeczytany list.

W końcu pierwsza odezwała się pani Szkudlarkowa.

Jak słyszeniecie, a kasi wszystko dobrze, ale nie każdy trafił tak, jak ona. No, a teraz powiedzcie, co u was i co na Żelowie słychać? – spojrzała w stronę Zenka.

„Cukra” zastrzelili – odezwała się Milena.

Waszego konika? dziewczynki krzyknęły niemal jednocześnie.

Stary już był – wrócił Zenek – ale odkąd paruję, był z nami.

To był nasz kochany konik, a oni go zastrzelili. Milena znowu miała łzy w oczach. Podszedł jeden z żandarmów i po prostu go zastrzelił. Nikogo nie pytał. Tak dla zabawy to zrobił. Szwabsko – dodała z nienawiścią w głosie.

Kon to jak przyjaciel – powiedziała poważnie pani Teresa. Kiedy to się skończy? – dodała.

Zenek odetchnął głęboko.

Niedługo proszę pani, niedługo. Wojsko polskie już idzie z Ruskimi i Niemców goną. W Warszawie powstanie. Pewnie przez to znowu mamy nie pozwolili odprawić w tym miesiącu, tak jak w listopadzie w reszty roku, kiedy panią Guderiką aresztowali, ale to pani wie, że wtedy szybko ją zwolnili. No, a teraz zakładników zaczęli brać.

– Pewnie Berger tak zarządził? – spytała Szkudlarkowa.

– Jasne – odpowiedział Zenek. Kto się świną urodził, skowronkiem nie umrze.

A co z tymi zakładnikami? – pytała dalej.

Głównie młodych chłopaków aresztowali. Od wczoraj trzymają ich u Baptystów i w waszym kościele. Dostęp do nich nie ma. Nie wiadomo, co z nimi zrobią. Jeden znajomy Niemiec mówił ojcu, że to taka akcja prewencyjna – na pastusach. Mają ich szybko puścić.

– A co u rodziców?

Dziękuję, dobrze. Zdrowi. I w piekarni też dobrze. Niemcy też muszą jeść, pani Szkudlarkowa, ale dzięki temu, że piekarnia działa, to możemy imym pomagać. Od jakiegoś czasu karmimy tych, co w ogrodzie pracują. Tylko teraz coś przebiegają, że obóz u Jerska już niedługo zlikwidują. Szwabom ziemia u nóg się pali, to powoli podwijają ogon. Da Bog, że koniec tych ich rządów i pojdą przez. Tylko więźniowie boją się, bo nie wiadomo,

co z nimi robią. Musimy już iść, pani Szkudlarkowa. Tak jak siostra mówiła, gdyby trzeba było w czymś pomóc, to proszę dać znać. Zawsze jesteśmy do dyspozycji.

Jeszcze raz wam dziękuję. Pozdrówcie rodziców.

Proszę się nie martwić. Niedługo wszyscy razem pojedziemy na „Trytwę” do Fałaku. Jeszcze wszystkich sławów nie zasypało. Posiedźmy, popołudniemy, napijemy się lemoniady. Pani z mężem, Kasia i dziewczynki, a ja z siostrą i rodzicami, wszyscy pojedziemy.

Tylko Franka i Dawida nie będzie z nami – wróćcie Milena.

Będą przy nas. W naszych sercach i wspomnieniach – odpowiedział Zenek. Czy ty myślisz, że Franka by sobie darował, gdyby nie był z nami, choćby niewdzialny? – spojrzał na siostrę, uśmiechając się serdecznie.

Odpowiedziała także uśmiechem.

- Do widzenia, pani Szkudlarkowa. Koniec już blisko Niemcy już portkami trzęsą – powiedział już za progiem i pokwał dziewczynkom na pożegnanie.

Do widzenia. Niech Bóg wam błogosławi – odpowiedziała pani Teresa, patrząc za wychodzącym rodzeństwem.

Wyzwolenie Żelowa

Początek 1945 roku przyniósł duże zmiany. Coraz częściej mówiło się o zbliżającym się froncie. O kolejnych wyzwolaniach przez Sowiec – Polaków tetenach. Wiele Niemców uciekało. Zwłaszcza władze okupacyjne oraz ci, którzy mieli najwięcej na sumieniu.

Kierownik Arbeitsamtu, Josef Fuchs z rodziną, szykowali się do opuszczenia Żelowa.

I jak, panie doktorze? Może jeszcze zmieni pan zdanie i pojedzie z nami? – powiedział do doktora Łuczyńskiego. Ruscy nie są takim kulturalnym narodem jak my – jak się dowiedzą, że

u pana mieszkał niemiecki oficer, nie będą zadawać pytań, tylko od razu rozstrzelają pana i pana rodzinę.

Panie Fuchs – spokojnie odpowiedział Łuczyński. Już raz powiedziałem, że jestem Polakiem. Czy mam być farbowanym Niemcem?

Na razie wyjeżdżamy – odpowiedział nieco wzburzony Niemiec – ale nasz wódz ma jeszcze w zanadrzu tajną broń. Wkrótce jej użyje, a wtedy zobaczymy – spojrzał prosto w oczy Łuczyńskiego i po chwili dodał:

Odpowiem panu na pytanie, które kiedyś mi pan zadał. Pytał pan dlaczego Żelow nie był nawet drasnięty we wrześniu 39, choć wokół wszystko bombardowano i palono. Otóż tylko dlatego, że na niemieckich mapach Żelow zaznaczony był czerwonym kolkiem. Był pod specjalną ochroną, bo to Czeska osada z dużą ilością niemieckich mieszkańców. Mam jeszcze kilka dni do wyjazdu. Niech pan się jeszcze zastanowi. Dobrze panu radzę, bo przecież mogę pana zabrać ze sobą – wręczył panu wóci.

Fuchs opuścił Żelow po trzech dniach, ale bez Włodzimierza Łuczyńskiego, który uciekł się na kilka dni u sąsiadki, Ade i Elbi-chowej, pod numerem 41.

Pewnego mroźnego dnia pojawiły się w Żelowie pierwsze samochody z żołnierzami Wyzwoleniczej Armii Radzieckiej.

„Chłopak! Chłopak!” krzyknął jadący w zdobyczym niemieckim bziku oficer.

Kuda Buczek, Lask?”

Niespełna piętnastoletni Marian Ornał szedł ulicą Króńskiego w kierunku swego domu.

Pakuley dorogę – zwrócił się do niego oficer.

Chłopak niepewnie podszedł do auta. Rusk żołnierz podał mu spory kawałek papieru.

- Ty nie boisja. Djerży piat złoty. Pakazy dorogu.

Za pierwszymi samochodami pojawiły się oddziały wojska, które rozjechały się po całej osadzie i okolicznych wioskach. Rozpoczęło się szeroko zakrojone polowanie na Niemców.

- Strzelaj! Nu! strzelaj! - krzyknął radziecki żołnierz, spoglądając na kolegę, który trzymając broń gotową do strzału, stał naprzeciw Niemca, jak wryty.

- Nie mają już amunicji - powiedział żołnierz, opuszczając „pepesz”⁹⁹.

- Zastrzelił dwóch naszych. Strzelaj.

Rosjanin stanął koledze przed lufą, zastępując Niemca.

- To mój syn - wykrztusił dziwnym głosem.

- Kuk? Twój syn?

- Mój. Mam żonę Niemkę. Wyszli nas i oni wyjechali, a ja uciekłem do armii.

- Idi ezortu! Naszich ubili!

Wyższy stopniem kolega odsunął swojego towarzysza na bok i wystrzelił serię z automatu w kierunku zatrzymanego mężczyzny.

Przeszukiwano domy i komórki, ogrody i lasy. Zatrzymanych Rosjanie zbierali w grupy. Przyprowadzano ich, co jakiś czas, do Rynku. Po kilkunastu złapanych ludzi. Sprawdzano dokumenty. Polaków wypuszczano, Czechów i Niemców rewidowano.

- Pod ścianę i ręce w górę - powiedział po polsku radziecki żołnierz. - Nazwisko i narodowość - spytał wystraszonego mężczyzny.

- Rudolf Dalke - padła odpowiedź.

- Niemiec?

- Nie, Polak.

- Gdzie masz dokumenty?

- Niemcy mi zabrali - klamał przekonująco.

Przeszukując ubranie zatrzymanego, żołnierz sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki.

- A, to co? - wyjął pięć banknotów i dwa złote pierścionki.

- To dla was - odpowiedział Dalke.

Rosjanin schował zdobycz za mundur.

- Wynocha - odepchnął Volksdeutscha na bok. - Następny - zawołał w kierunku kolegów pilnujących zatrzymane osoby.

Do muru podszedł starszy człowiek. Uniósł w górę drżące, powykęcane artrytyzmem ręce.

- Polak, czy Niemiec? - spytał żołnierz.

- Niemiec - odpowiedział ledwie dosłyszalnym głosem mężczyzna.

- Puśćcie go - odezwała się z grupy zatrzymanych jakaś kobieta. - Przecież widzicie, że to staruszek.

- Ty chceszz jewo? - spytał z uśmiechem jeden z radzieckich żołnierzy. - Na, dawaj litr spirytu i pauczisz jewo¹⁰⁰ - śmiał się dalej.

- Nie mam - odpowiedziała.

- Tak i niejewo iz etowo - popchnął Niemca do grupy zatrzymanych.

Efektem łapanek było zabicie kilkunastu Niemców. Wielu aresztowano. Zginęło też kilku radzieckich żołnierzy. Pochowano ich w tymczasowych mogiłach, między innymi na podwórzu przy domu na Kościuszki 102, przy siatce na boisku szkolnym przy Szkole nr 1 i przy plebani kościoła ewangelicko-reformowanego.

19 stycznia 1945 roku przy domu doktora Luczyńskiego zatrzymał się niemiecki samochód marki Volkswagen. Z dużego,

⁹⁹ Pepesz - potocznie radziecki pistolet maszynowy kal. 7,62 mm

¹⁰⁰ pauczisz jewo - z rasy dostaniesz go

czarnego auta wysiedli oficerowie radzieckiej armii. Po wydaniu rozkazów rozlokowali się w mieszkaniach państwa Luczyńskich. Tuż obok, przy Kościuszki 41 na podwórzu wjechały samochody i wozy konne wyładowane zdobyczym towarem. Ciężarówki pełne były mebli i różnego innego sprzętu, na wozach rzeźły krowy i chrząkały świny. Do domu wprowadzili się na kwaterę radzieccy żołnierze, którzy zajmowali się ochroną dowództwa.

– Kto jest jeszcze w domu? – spytał Fibichowej pierwszy z wchodzących kierując broń w jej stronę.

– Jestem tylko ja i służąca z chorą córką – pokazała na Stasię i małą Lucynkę.

– Odzie mąż?

– Jarosław na wojnę poszedł.

– Ty jesteś gospodynią?

– Tak.

– A poza tym, co robisz?

– W Krankenhaus⁴⁴ pracuję.

– Co jest dziecku? – zwrócił się w stronę Stasi Gasińskiej.

– Ma zapalenie płuc, panie oficerze. Jest w ciężkim stanie.

Lejtnant odwrócił się i wydał rozkazy.

– Kobiety i dziecku nie może stać się żadna krzywda. Paniatna? – odwrócił się poszedł na kwaterę.

Jeszcze dwa dni trwały aresztowania Volksdeutschow oraz niemieckich żołnierzy stacjonujących w Żelowie i złapanych w okolicy. Sowietci umieścili ich najpierw w niedokończonym synagodze, a następnie w kamienicy, przy ulicy Śmigłego-Rydza 84, gdzie trafiła także Adela Fibich. Trzeciego dnia o świcie Rosjanie zwolnili część jeńców. Pozostałych, głównie niemieckie wojsko i „czarnomorców”, czyli jak mówili „zdrajców Stalina”,

wyprowadzili na podwórze. Żołnierzom kazali zdjąć górną część odzieży i buty, unieść ręce w górę. Szukali pod prawą pachą delikatnego tatuażu oznaczającego przynależność do SS. Tych likwidowali natychmiast, strzałem w tył głowy. Z pozostałych, co kilka minut zabierali po dziesięć osób i wyprowadzali za stajnię. Ustawiali ich w pobliżu ubikacji. Naprzeciw nich stawiali żołnierze z pepesami. Więźniowie nie próbowali uciekać. Patrzyli prosto na oprawców. Niedawni drapieżcy stali się teraz ofiarami. Padali strzały. Upadali najpierw na kolana, potem twarzą w błoto i w gnój lekko przyproszony śniegiem. Ciała zabitych więźniów wrzucali na ustawione obok wozy. Potem przyprowadzali następnych. Resztę więźniów zgrupowali w dwuszeregu i przeprowadzili dalej, pod las, gdzie były wykopane wcześniej dwa rowy.

– Agoń! – padła kolejna komenda.

Ciała niemal dwustu ludzi zakopali w dwóch zbiorowych mogiłach.

Następnego dnia wieczorem nierwyciężona, wyzwolenicza Armia Radziecka opuściła dom państwa Luczyńskich i osadę Żelów, w której nie było już ani Żydów, ani niemieckich żołnierzy.

Kiedy odjeżdżał ostatni samochód, doktor Luczyński wyszedł razem z żoną na ulicę. Patrzyli na oddział radzieckiego wojska. Śnieg zaczął padać i powoli zakrywał ślady kół pozostawione na drodze.

– Zimno mi – powiedziała pani Narcyza. – Chodźmy do domu.

Doktor westchnął głęboko.

– Z deszczu pod rynnę trafiliśmy. Z deszczu pod rynnę...

KONIEC

Żelów, dn. 16 marca 2014 roku.

⁴⁴ Krankenhaus – z niem. przychodnia, szpital.

Bibliografia i teksty źródłowe

- Gratusz Andrzej, Papuga Sławomir, *Zelów Wspólnota mojej, wyznań, kultur*, Łódź 2003.
- Ks. Ciosek Kazimierz, *75 lat Parafii Mski Boskiej Częstochowskiej w Żelowie 1926 – 2001*, Żelów 2001.
- J. Góral, R. Krzewicz, Z. Tobijański, *Zarys Dziejów Żelowa*, Urząd Miasta i Gminy Żelów, 1987.
- Kopka Sławoj, *Wszyscy się nas boją*, Żelów 2012.
- J. Góral, *Belchatów pod okupacją niemiecką (1939–1945)*, [w:] *Belchatów*, http://pl.wikipedia.org/wiki/Historia_Zydow_w_Belchatowie, <http://www.youtube.com/watch?v=4UE3ctig5Ic>.
- Kluk Józef – pisemny zyciorys.
- Römmel Juliusz, „Za honor i ojczyznę” wspomnienia dowódcy armii „Łódź” z „Warszawy”.
- Z artykułu w „Ilustracja Polska” z 1934 r. reportaż o Żelowie „mieście szki”, <http://wielkieoczy.ign.com/Memories/RM.htm> Wspomnienia Ryszarda Majusa.
- Uroczysty Akt Poświęcenia na Wieczną Rzecz Pamiętkę pod Budowę Elekrowni i Rzeźni w Żelowie 1930.
- Pisemny zyciorys do wiadomości IPN Zofii Wołskiej (Frändli Szylis).
- Strzemińska Maria, *Polscy Żydzi*, PWN 1951–1986.
- Czekanowska Anna, *Świat rzeczywisty – świat zapamiętany. Lasy Polaków na Łódzku (1939–1945)*, Lublin 2010.
- Prekerowa Teresa, *Zarys Dziejów Żydów w Polsce w latach 1939 – 1945*, Wydawnictwo Uniwersytetu Warszawskiego, Warszawa 1992.
- Wirkowski Eugeniusz, *Kuchnia Żydów Polskich*, Warszawa 1988.
- Miesięcznik Parafii Ewangelicko-Reformowanej w Żelowie, *Nowiny* Nr 4 (31), kwiecień 2012.
- Muzy Dziennik* Nr 10, Rok IV, 11 stycznia 1938, Nr 13, Rok IV, 14 stycznia 1938, Nr 103, Rok IV, 14 kwietnia 1938, Nr 116, Rok IV, 29 kwietnia 1938, <http://www.youtube.com/watch?v=2D0XSWuLP0> – komunikat radiowy z 1 września 1939, <https://www.historiawielunia.uni.lodz.pl/1wrzesnia2.html>, <http://bp.net.pl/historia/odezwa-zarzadu-i-naczelnej-rady-rabinow-rp-z-2-wrzesnia-1939-r>, <http://zdziawizartori.salon24.pl/122570,obalamy-mity-zydowska-piata-kolumna>, http://www.izrael.bedecz.org/kultura/judaizm_modlirny.html.
- Archiwum Państwowe w Łodzi – Oddział Zamiejscowy w Sieradzu.



Dariusz Kaczmarek

od urodzenia w dniu 27 sierpnia 1965 r.
mieszka w Żelowie. Z wykształcenia
jest terapeuta i pedagogiem.
Od wielu lat prowadzi Stowarzyszenie
Przyjaciół Osób Niepełnosprawnych
oraz Integracyjny Oddział dla Osób
Niepełnosprawnych.
Jest radcą Rady Miejskiej w Żelowie

OBOK NAS 1933-1945, to pierwsza jego publikacja. Prawie historyczno-obyczajowa ukazująca losy mieszkańców Żelowa w latach przed i w trakcie II wojny światowej. Opiera na wspomnieniach osób, które przeżyły opisany czas i sytuację.

W książce przedstawione są losy bohaterów pochodzących z różnych środowisk kulturowych i religijnych, które spotkały się w codziennym, szarym życiu, z wydarzeniami, na które nie mieli wpływu.

Pogłębiając swoje zainteresowania historią, autor pragnie przekazać czytelnikom, że historia nie jest odległą, co najmniej o łódzkiej, którzy byli obok nas, tylko krótko przed nami.